T. Breza, K. I. Gałczyński, M. Jastrun, A. Kruczkowski, St. Stempowski

Cena 25 zł

ODRODZENIE

TYGODNIK

Nakład: 30.000
Redakcja: Daszyńskiego 16
Administracja: Daszyńskiego 14

Rok V | Warszawa, dnia 29 lutego 1948 r. | Nr 9 (170)

TADEUSZ BOROWSKI

MAŁE I WIELKIE LEGENDY

GŁOWY W PIASKU

Chciałbym napisać artykuł o pewnym pamiętniku z okresu okupacji, którego autorką jest była robotnica łódzka, uczestniczka walk i prac Gwardii Ludowej, ale onieśmielają mnie dwa względy. Pierwszy z nich jest natury moralnej, drugi — estetycznej.

Zdarzyło mi się niedawno brać udział (zresztą przypadkowy) w rozmowie z pewnym wojennym konspiratorem, człowiekiem, który — jak to się mówi — jeśli nie siedzi pod świecznikiem, to w każdym razie umieszczony jest w kręgu jego światła. Rozmawiano o będącym w realizacji pomyśle dzieła sztuki, w którym między innymi —

— Bo uważacie, moi panowie — powiedział były konspirator, pociągając po raz drugi cyngiel zapalniczki w kształcie rewolweru — na postaci konspiratora, Gwardzisty Ludowego, który ma być uosobieniem ideału człowieka, nie może leżeć nawet przez chwilę żaden, choćby przelotny cień! Gwardzista nie może mieć kochanki, która zdeklasowała się społecznie do roli handlarki złotymi zębami i wspólniczki szmuglerów od zarobku i łóżka!

— Ależ to się skończyło przed rokiem, kiedy ona była jeszcze zupełnie porządną dziewczyną! Potem się z nią rozstał, a ona (różne są koleje życia) zeszła na psy! — zaprotestowałem słabo z kąta pokoju.

— Tym gorzej — rzekł człowiek pod świecznikiem. — Wychodzi tak, jakby to przez niego. Może by zrobić z niej jego siostrę?

Nie wyszło. Ani z siostrą, ani z matką, ani z żoną. Córki mieć nie mógł, był za młody. Pokrewieństwo z czarnym charakterem rzucało na niego czarny cień. Ponieważ się podłej dziewczyny nie dało z utworu usunąć z powodu jej zasadniczego udziału w akcji, sprawę załatwiono krakowskim targiem, bez obrażania moralności: zła dziewczyna kocha się w Gwardziście gwałtownie i namiętnie, ale bez wzajemności.

W tymże samym utworze, którego treść stanowią losy pewnej grupy Gwardii Ludowej, działającej w Warszawie, wprowadzono krótką scenkę, taką, że kilkuletni synek innego Gwardzisty bawi się drewnianym karabinkiem. Pewien były konspirator (obecnie znany krytyk literacki), oburzony tym pomysłem, dopisał atramentem z boku wielkimi, trochę kanciastymi literami: „Dziecko ALu nie bawi się karabinem". I dał zamiast kropki wykrzyknik.

Widocznie w jego pojęciu było to wysoce niemoralne i rzucało czarny cień na Gwardzistę oraz ideę, przezeń reprezentowaną.

Tymczasem w „moim" pamiętniku moralność okupacyjna jest mniej czułostkowa ale za to bardziej rozsądna. Oto dwie Gwardzistki biorą na wychowanie córeczkę poległego przyjaciela, który ożenił się z Żydówką. Matce i dziecku grozi oczywista śmierć. Wpółobłąkana matka odnajduje schronienie dziecka i chce je zabrać ze sobą. „Zastąpiłyśmy jej drogę, wyrwałyśmy jej z rąk Marysię. Tak trwało całą noc. Wyrywałyśmy sobie z rąk do rąk nieprzytomne ze strachu dziecko, odpychałyśmy oszalałą matkę, która biła nas po twarzy, aż wreszcie nad ranem, zmęczone do cna, opadłyśmy bezsilne na tapczan. Gdy się rozwidniło, uspokojoną i zrezygnowaną nakłoniłyśmy, by się przebrała i wzięła metrykę. Wsunęłyśmy pieniądze w kieszeń, do rąk węzełek z jedzeniem i nie patrząc w oczy pożegnałyśmy. Poszła samotną drogą śmierci". Ludzie, którzy służą obecnie za modele do idealnych i przykładnych bohaterów fałszywych legend, rzadko chodzą po świecie słonecznym i spokojnym, przeważnie zaś leżą po cmentarzach i lasach, przykryci piaskiem. Mój rozmówca, który obawiał się ciemnej plamy na przeszłości swego ideału i znany krytyk, który w czteroletnim dziecku pragnąłby widzieć uświadomionego marksistę — radziby przysypać ich jeszcze jedną warstwą piasku.

Piaskiem moralności mieszczańskiej, w którym trzymają głowy, nie dostrzegając, że z tamtych czasów wywodzą się bohaterowie wyżkarmelkowych wyobrażeń, króciutkiej pamięci i hagiograficznych poczynań.

GORSETY I ARCHIWA

„Mój" pamiętnik mówi o faktach, nie o legendach. Gdzie są fakty, tam oczywiście nie ma miejsca na pobożne legendy. Jeżeli wyobrażenia o moralności człowieka walczącego o zrealizowanie swojej idei są tak beznadziejnie banalne i — co gorsza — kłamliwe, jak tylko co zacytowane, to znaczy to tylko, że ani tego człowieka, ani jego moralności dostatecznie nie poznaliśmy. Nie wierzcie, że powiedziano już wszystko o wojnie. Ci, którzy wytyczają drogi literaturze i usiłują kształtować jej oblicze ideowe, łudzą się, jeśli sądzą, że literatura tzw. wojenna spełniła już swoje zadanie i że dalszy dopływ tematyki wojennej zdusi rozwój tematu odbudowy. Literatura powiedziała część prawdy o okupacji, ale na całą prawdę jej jeszcze nie stać. Nie wdając się w analizę skomplikowanych i niezupełnie wyjaśnionych przyczyn, poprzestanę na stwierdzeniu, że literatura ograniczyła się **prawie** wyłącznie do **ukazywania psychiki i działania człowieka raczej biernego, nie biorącego udziału w walce, zastraszonego albo naiwnego, opierając się zaś na wspaniałej tradycji literatury mieszczańskiej, celuje w rysunku bohatera „negatywnego" i lubi jego ustami oraz czynami osądzać etykę wojny,** wartości pozytywne zaś nauczyła się przedstawiać pośrednio przez doprowadzanie do absurdu założeń wrogiej ideologii. Metoda ta nie jest pozbawiona (może tylko artystycznej) perfidii, gdyż sens komponowanych w ten sposób utworów da się — często wbrew intencjom ich twórców — czytać dwojako; przykładem niech będzie najlepsze osiągnięcie kierunku — „Medaliony" Nałkowskiej. Uważa się jednak powszechnie tę metodę za najdoskonalszą, nieśmiałe zaś próby wyciągnięcia praktycznych konsekwencji z głoszonego powrotu do realizmu ocenia się jako kapitulanctwo i faktografię. Kiedy pisarz się zdobywa na rozległy, oparty na bezspornym fakcie opis i komentarz, wtedy mówi się z lekkim lekceważeniem o reportażu, nie oszczędzając nawet najcenniejszych kart Rudnickiego.

Praktyczne stosowanie tych szeptanych kanonów artystycznych stwarza nieraz zabawne widowiska, kiedy pisarze z kręgu konspiracyjnego, a więc pewien rodzaj fachowców, **zamazują skutecznie rzeczywistość przez irracjonalny psychologizm,** a do rangi prawie że ideału estetycznego urasta umiejętność pokazywania swego poglądu na świat w formie możliwie najbardziej od rzeczywistości odległej, czyli tworzenie w najgorszym wypadku — Lunaparków, a w najlepszym — Matek Joann od Aniołów.

Nie można myśleć o syntezie artystycznej epoki, nie znając jej faktów. A faktów wojny nie znamy w całości. Różne są tego powody. Archiwa partii politycznych, instytutów naukowych i innych odpowiednich instytucji są zamknięte, ale nawet gdyby je najszerzej otwarto, to i tak wiadomo, że niewiele w nich jest materiału. Historie poszczególnych organizacji politycznych i wojskowych, naukowe wydania prasy podziemnej, nie mówiąc już o życiorysach ludzi, którzy mogą stanąć obok największych bohaterów nie tylko naszego narodu, poległych żołnierzy, rozstrzelanych działaczy, powieszonych przywódców okrywa taka sama upiorna cisza, jaką okryto umarłych podczas wojny pisarzy. Ale ta cisza zaczyna już dzwonić w uszach.

Oczywiście, nie jest winą literatury, że nie chce i nie może zastąpić historii. Pisać o historii powinni fachowi historycy i ci, co historię robili. Już dawno minął termin, w którym powinny były się ukazać pamiętniki wojenne Prezydenta, Wiesława-Gomułki, Józefa Cyrankiewicza, Mariana Spychalskiego, Zenona Kliszki, Władysława Bieńkowskiego i innych, organizatorów Wojska Polskiego, wojennych zecerów, kierowników technik, ważnych i mniej ważnych dowódców. Nie można wszystkiego wymagać od literatury, samemu też trzeba zabrać się do roboty, o ile chcemy, aby prawda o wojnie, prawda polityczna i społeczna a wraz z nią i prawda o życiu i losie jednostki ludzkiej — nie uległa nieuczciwemu skrzywieniu.

Jeżeli literatura jest czemuś winna, to chyba przede wszystkim temu, że dała się ona skrępować gorsetem ciasnej i sztywnej estetyki, która nie pozwala pod groźbą utraty urody zaczerpnąć głębszego tchu i w której nie zawsze mieści się to, co nazywam prawdą o wojnie.

I tak jak w ramach tej estetyki jest miejsce na symboliczną powieść Truchanowskiego, ale nie ma miejsca na wstrząsającą relację z Treblinki, jak nie ma w niej miejsca na publikacje Centralnej Żydowskiej Komisji Historycznej, w których sąsiadująca z dokumentem naiwna publicystyka nabiera szlachetnego wyrazu walki o najgłębsze wartości humanistyczne ludzi, którzy wierzą jeszcze w jednoznaczność słów — tak samo, nie łudzę się wcale, nie będzie w niej miejsca na „mój" pamiętnik. Książka Stanisławy Sowińskiej*), traktująca o pracach i walkach autorki i napotykanych przez nią ludzi w ramach Gwardii Ludowej, nie obliczona jest na obowiązującą estetykę literacką. Mimo to wydaje mi się dziełem zupełnie nieprzeciętnym.

PAMIĘTNIK KONSPIRATORA

Autorka nie miała żadnych, nawet zupełnie skromnych ambicji literackich, toteż nie ma niestety w tej opowieści mądrej (a nawet nie ma rozsądnej) obróbki obfitego materiału literackiego. Język jej jest ubogi, niekiedy niezaradny. Rzadko kiedy efekt literacki, nasunięty przez sam materiał, zostanie wykorzystany, na odwrót, aż żal bierze patrzeć, ile okazji zostało niezauważonych, ile zmarnowanych!

Weźmy pierwszy z brzegu przykład — komentarze psychologiczne. Niemcy zrobili dla warszawiaków widowisko z zagłady ghetta. Autorka tak to komentuje: „Głupcy! Sądzili, że w ten sposób zdobędą sobie sympatię Polaków dla tak „świętego dzieła", jakim jest niszczenie i mordowanie Żydów. Omylili się grubo, jak to się później pokaże".

Prawda, takie naiwne, że aż urocze? Lepsze jest pierwsze z brzegu opowiadanie, ba! reportażowe wspomnienie okupacyjne? „Później się okaże", że nie.

Nie dając utworu literackiego, autorka zastrzega się wyraźnie, że nie pisze również historii Gwardii Ludowej. Postawiła sobie za cel ukazanie fragmentów walki wyzwoleńczej kraju, które oglądała własnymi oczyma, relacja jej nie jest jednak dokładna. Autorka nie trzyma się ściśle dat, nie rozszyfrowuje pseudonimów, nie o każdym towarzyszu opowiada do końca. O wielu zdarzeniach, nawet tych, które dotyczą jej samej, napomyka tylko mimochodem, wiele ze szkodą dla przejrzystości książki i może ze szkodą dla samej sprawy, której książka służy — pomija.

W czym więc leży wartość tej książki? „Lata walki" są najpełniejszą dotychczas i najprawdziwszą opowieścią o charakterze poli-

*) **Stanisława Sowińska** (Barbara.) Lata walki. Warszawa, „Książka", 1948; str. 389 i 3 nl.

»RĘKA OJCA«

PATRZ NAJBLIŻSZE NUMERY „ODRODZENIA"

zamiarów. Stać ją na to (a myślę, że wyraża nie tylko swoje przekonania), aby uznać i ocenić wkład żołnierzy AK w dzieło walki z okupantem, nawet, aby uznać ich wyższość uzbrojenia i techniki wielekroć też wspomina o pomocy, udzielanej członkom GLu przez tych lub innych ludzi z AKa, zresztą wbrew wyraźnemu zakazowi „z góry". Jeżeli jednak autorka przyznaje wyższość koncepcji i ludziom GLu, to jest to wyższość jakości koncepcji politycznej, zmierzającej do przebudowy na wpół faszystowskiego przed wojną i opierającego się na wpół faszystowskich organizacjach podziemnych podczas wojny państwa, w państwo ludowe — oraz nieraz wyższość osobistego, czysto ludzkiego poświęcenia się sprawie.

W ujęciu autorki Gwardia Ludowa jako organizacja wojskowa „warstw niższych" (że posłużę się jej terminem), nie podporządkowana rządowi londyńskiemu i nie korzystająca z żadnej pomocy zagranicznej, a więc pozbawiona i broni i pieniędzy, w otoczeniu zdecydowanie wrogich organizacji, stojących na straży interesów warstw wyższych, podnosząca hasło zbrojnej walki z wrogiem — miała bardzo trudne warunki startu. Przez pierwszy rok w szeregach stosunkowo nielicznych jej członków, jak w ogóle w całej klasie robotniczej, z której się oni po większej części rekrutowali, srożył się nagminny głód. Co parę stronic napotyka się u Sowińskiej sugestywne wzmianki, a obszerniejsze opisy obijania się po mieście dla zagłuszenia nękającego głodu, żywienia się zupą, gotowaną na śmierdzących kościach, pożerania suchego chleba, „w skąpej zresztą ilości, skrupulatnie dzielonego na trzy części", chodzenia na czczo do fabryki, gdzie trudno zjeść zupę w stołówce z powodu — braku łyżki — powtarzają się co kilkanaście stronic. Głód nie jest tylko udziałem autorki czy jej towarzyszek. Głodne jest dziecko żydowskie, przygarnięte przez koleżankę, głodny i mizerny jest łącznik w Radomiu, głodne jest całe środowisko, w którym żyje autorka.

Ale głód, nędza, brak pieniędzy i broni — to tylko trudności w podstawowym nurcie książki, obrazie walki z Niemcami. Ci, którzy szukaliby w książce Sowińskiej opisu autentycznych akcji i walk — znajdą tutaj bogaty i barwny materiał, poczynając od akcji ulicznych i ekssów, a na walkach całych leśnych dywizji kończąc. Opisy tych akcji, przeprowadzanych początkowo nielicznymi siłami i ograniczoną ilością broni, służą jednocześnie autorce jako dowód pozytywny tezy, że Gwardia Ludowa pierwsza rzuciła i pierwsza zrealizowała hasło bezwzględnej walki z wrogiem.

W interpretacji autorki hasło walki nieograniczonej z wrogiem było równocześnie hasłem walki klasowej o awans społeczny dla warstw niższych, walki, prowadzonej w imię humanistycznych ideałów. Szczególnie jaskrawo uwydatnia się to w stosunku poszczególnych konspiracji do zagłady Żydów, będącej na rękę wchodzącemu na ich miejsce jako pośrednicy handlowi — drobnemu i średniemu mieszczaństwu. Ginącemu ghettu słano wiele słów pociechy i tragedię jego rozgłaszano krótkofalówkami na cały świat, ale postanowiono ani jednego człowieka nie poświęcać w jego obronie. Pomoc bojową ghettu w takich rozmiarach, na jakie ją stać było, dała jedynie źle uzbrojona i niedostatecznie wyszkolona Gwardia Ludowa, która likwidowała obsady cekinów, dostarczała pewnych ilości broni do ghetta, organizowała przerzuty Żydów do partyzantki, wraz z całą postępową częścią społeczeństwa szukała dla uchodźców kryjówek. Opowiedziana na wstępie tego artykułu historia żydowskiej matki i jej dziecka ma następujący epilog:

„Marysia została u „Stachy". Ale cała ta historia nie mogła przejść bez echa. Ktoś podpatrzył, ktoś podsłuchał i ktoś doniósł na gestapo. Stacha była dwukrotnie aresztowana. (...) Siedziały obie z małą w jednej celi w więzieniu w powiatowym mieście. Mimo prześladowania, mimo bicia, nie zdradziła prawdy. Marysia jest jej nieślubnym dzieckiem i basta".

OPOWIEŚĆ O AWANSIE SPOŁECZNYM

Jednakże największą wartością pamiętnika (jeżeli się zgodzimy na to określenie utworu, którego sama autorka zaklasyfikować nie umie) Sowińskiej nie jest ani jego autentyzm, ani linia polityczna. „Lata walki" są nie tylko kamieniem obrazy dla moralności tych, którzy żołnierzy ostatniej wojny oglądają tymi samymi oczyma i w tych samych okularach, którymi oglądali weteranów z powstania styczniowego. „Lata wojny" są przede wszystkim wspaniałą powieścią o awansie społecznym, realizującą szczęśliwiej i prościej postulat pokazywania tego, co uczenie nazwano „socjologiczną konstrukcją losu ludzkiego".

To nic, że autorka zastrzega się, iż pokazuje tylko fakty i ludzi oraz dokumenty w celu unaocznienia walki z okupantem. Nie wierzmy autorce W oczach czytelnika spod gąszczu faktów, spod nawału wielkich i drobnych wydarzeń okupacyjnych, ważnych i przypadkowych akcji, zmiennych warunków bytowania, kolportażu, głodu zdrad, szpiclów i bohaterów — spod pióra byłej robotnicy fabryki łódzkiej kształtować się zaczyna świetna opowieść o wielkim awansie społecznym najbardziej uświadomionej grupy z warstwy robotniczej, grupy, która nie mając prawie zupełnie środków, a często i umiejętności — staje się ośrodkiem organizacyjnym „warstw niższych" do walki z okupantem i do walki o wyzwolenie gospodarcze.

Dzieje tego awansu — to dzieje przede wszystkim samej autorki książki, wykwalifikowanej robotnicy, która zamieniwszy beznadziejny głód bezrobotnego na ciężki żywot chłopski gdzieś pod Baranowiczami („cały tydzień ciężka od świtu do nocy orka w polu i w domu, w niedzielę „samogon" i w następstwie bijatyki", jak w „Wertepach" Buczkowskiego) przedostaje się w poszukiwaniu lewicowych organizacji podziemnych do Warszawy, przeżywa wprost epiczne okresy głodu i nędzy, resztę wojny pracuje w Gwardii Ludowej kolejno w drukarni, w technice, w kolportażu, przechodzi następnie do Sztabu Głównego, zostaje ciężko ranna po zajęciu Pragi przez wojska radzieckie i polskie. Do półprzytomnej po udałej operacji robotnicy przyszedł Dowódca Naczelny.

„Kimże ja jestem i kim są oni, cóż to za moc zbliżyła, zetknęła te dwie krańcowe dotychczas, na dwóch różnych biegunach stojące i wrogie siły społeczne? Robotnicy i generałowie, naród i władza".

Krąg awansu społecznego został zamknięty. Ale nie jest to awans jednostki, której się poszczęściło. Oto inni towarzysze konspiracyjni. „Grupa znajomych szewców, którzy zorganizowali spółdzielnię szewską i przez których można starać się o kontakt z Gwardią Ludową", oto łącznik w Radomiu, „starszy siwy robociarz o chudej, zniszczonej twarzy", oto żona zlumpowanego, robociarza-pijaka, rwąca się do pracy w Gwardii Ludowej, oto chłopski syn, łącznik między Łodzią a Warszawą Oto wielu innych, którzy — jeśli nie polegli — czuwają dziś nad kontynuacją dzieła awansu społecznego warstwy robotniczej i chłopskiej.

...„nie będą miały dzieci ciężkiego, skrzywionego nędzą dzieciństwa, ...nie będzie płakać młodzież, że chce do szkoły iść, gdy życie pcha ją brutalnie pod bat naganiacza fabrycznego do ciężkiej pracy nie dla siebie, gdzie nie będzie naród deptany kopytami końskimi przedwojennej policji, nie będzie okrutną niemiecką pięścią żandarmską spychany na samo dno upadku. Daleka i ciężka przed nami droga".

Można te słowa przełożyć na język, wolny od nalotów żeromszczyzny, ale treść ich pozostanie przecież ta sama. Losy naszego państwa związane zostały z losami awansu społecznego klasy robotniczej i chłopskiej. Lata walki Gwardii Ludowej nie zaprowadziły do ślepej uliczki. Łączą się one z latami pokoju.

CIENIE POLEGŁYCH

„Lecz wiodą po tej drodze nas, ludzi niedawnego podziemia, cienie poległych, drogich, nieodżałowanych towarzyszy walki i trudu". Książka Sowińskiej wyrosła również z chęci opisania trudu, walki i poświęcenia ludzi poległych i żywych, jej towarzyszy ideowych. **Sowińska rozwiązuje problem pozytywnego bohatera, męczący naszą krytykę i literaturę, nieco inaczej niż mój rozmówca spod żyrandola, który do swoich pojęć dorabiał bohatera.** Sowińska sięgnęła do — rzeczywistości, opisała ludzi prawdziwych z imienia, nazwiska i pseudonimu, i okazało się, że autentyczni ludzie mogą być doskonałym materiałem na bohaterów. Nie jest ważne, czy Jasia, jeżeli miała synka, pozwalała mu się bawić samolocikami i żołnierzykami, ważne jest tylko to, że podczas długich lat praktyki konspiracyjnej nie zatraciła ona niekłamanego umiłowania ludzi. „W czasie śledztwa przypiekali jej żywcem nogi rozpalonym do czerwoności żelazem, wieszali głową w dół, pompowali wodę... Podziwiali ją wszyscy za niezwykłą pogodę i spokój, który zachowała do samej śmierci. W najlepszym wypadku rozstrzelają mnie — mówiła spokojnie do współtowarzyszek niedoli, próbujących utrzymać ją w złudzeniu, że przeżyje."

Czy zmieniłby się nasz sąd o Pawle, gdyby stało się wiadome, że zdarzyło mu się przespać z dziewczyną — nawet, jeśli bez ślubu? „Aresztowano młodego, jasnowłosego robociarza „Pawła", który w czasie przesłuchania w gestapo w obawie, że nie wytrzyma tortur i zdradzi towarzyszy, chwycił leżący na stole scyzoryk, którym bawił się gestapowiec, i poderżnął sobie gardło. Umierającego Niemcy zabrali do szpitala, gdzie ostatkiem sił bronił się przed ratunkiem."

Dziesiątki takich opowieści przewijają się przez książkę Sowińskiej. Pozytywny bohater jest częściej realizowany w życiu niż w literaturze. Byłoby trudną rzeczą wspomnieć, cóż dopiero opisać, wszystkich tych, którzy stanowić mogą lepsze modele na ideały do wypisów szkolnych niż bohater uwikłany w romans z czarnym charakterem, którego tu wciąż przywołuję jako ostrzeżenie.

Nie można jednak ominąć najwspanialej zarysowanej i najpla-

(Dokończenie na stronie trzeciej)

357/K/1948.

STANISŁAW STEMPOWSKI

DWA NIEDOSZŁE POJEDYNKI

(Kartki z pamiętnika)

W czasie mojej pracy w „Prawdzie" (1899—1900) wypadło mi wziąć udział w tzw. sprawie honorowej. Żeby wyjaśnić tło, na którym powstała, muszę się cofnąć nieco wstecz.

Pod firmą Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, instytucji klerykalnej i dobrze przez władze rosyjskie widzianej, na której czele stał Michał Radziwiłł, prowadziła robotę oświatową wśród robotniczej i rzemieślniczej ludności Warszawy tzw. Sekcja Czytelń Bezpłatnych pod kierunkiem adw. Stanisława Leszczyńskiego. Sfery klerykalne, rej wodzące w WTD, nie były zadowolone z tego, że praca oświatowa jest w ręku postępowej inteligencji, którą oskarżały o szerzenie bezbożności i radykalizmu. Zatarg zaognił się, gdy na dorocznym zebraniu WTD obalono prezesurę Radziwiłła i wybrano na jego miejsce profesora b. Szkoły Głównej, Brodowskiego. Po tym przewrocie, jako zemsta, ukazał się w antysemicko-klerykalnym tygodniku „Rola" artykuł, nazywający czytelnie WTD rozsadnikami ateizmu, a gdy na skutek tej denuncjacji oraz wyjaśnień w tymże duchu Radziwiłła władze dokonały w czytelniach rewizji, „Rola" i „Przegląd Katolicki" napisały, że przed rewizją wynoszono z czytelni koszami zabronione książki. Wynikiem tego było zamknięcie czytelni i aresztowanie wszystkich członków Sekcji oraz wielu działaczy oświatowych (w tej liczbie Ludwika Krzywickiego i Adama Mahrburga *).

Sprawie tej poświęcił artykuł wstępny w „Tygodniku Ilustrowanym" ówczesny jego redaktor Ignacy Matuszewski, z fotografią artykułu „Roli", a do redakcji „Tygodnika" zwołane zostało zebranie wszystkich redaktorów pism i dzienników w celu omówienia tego niesłychanego w dziejach prasy polskiej faktu denuncjacji polskiej instytucji przed obcą władzą. W wyniku obrad uchwalono bojkot „Roli" i „Przeglądu Katolickiego", przerwanie wymiany numerów z tymi pismami, niezamieszczanie ogłoszeń, niewspominanie o istnieniu tych pism — słowem zerwanie wszelkich stosunków.

Wychodził wtedy w Warszawie kwartalnik „Przegląd Filozoficzny", redagowany przez Władysława Weryhę, człowieka nie tyle skłonnego do filozofii, ile bardzo obrotnego spryciarza. Otóż ów „filozof", chcąc powiększyć zastęp prenumeratorów, wpadł na pomysł wydawania przy „Przeglądzie" dodatków w postaci „Biblioteki Neoscholastycznej" — przekładów wydawanego pod tą nazwą przez kardynała Merciera zbioru mądrości kościelnej, przystosowanej do nowoczesnych wymagań. Oczywiście, nie miało to nic wspólnego ani z nauką, ani z filozofią, a mogło interesować i podobać się przede wszystkim księżom. Jak do nich dotrzeć? Tylko przez pisma, które oni z urzędu czytają. — Pan Weryho tedy, zapomniawszy o uchwale bojkotowej, w której jako redaktor brał udział, posyła ogromne ogłoszenie w postaci prospektu do... „Roli" i „Przeglądu Katolickiego".

Wacław Sieroszewski, powróciwszy do kraju po 12-letnim zesłaniu na Syberię, osiadł w Warszawie.

Któregoś dnia, na początku 1900 roku, wpadł do mnie na Jerozolimską. W rozmowie powiedziałem mu to, o czym dowiedziałem się od studentów bywających w cukierniach, że w „Roli" są ogłoszenia Weryhy. — Okazało się potem, że Sirko wprost ode mnie poszedł do cukierni Zamboniego (na Marszałkowskiej), gdzie zbierali się literaci i zażądał „Roli". — Trzeba trafu, że kiedy czytał obszerne ogłoszenie o „Bibliotece Neoscholastycznej", wszedł właśnie Weryho, podszedł do stolika Sirki i zapytał, czy może się przysiąść. Na powitanie — „Jak się masz Wacławie" — Sirko odburknął: „Proszę pozwolić, że skończę czytać" — po czym doczytawszy zerwał się, wzburzonym głosem nawymyślał głośno Weryże i nie podawszy mu ręki — wyleciał. Przybiegł znów do mnie, opowiedział mi całe zajście, a ponieważ tegoż wieczora wyjeżdżał do Petersburga, prosił, abym, o ile wynikłyby z tego jakieś konsekwencje, podjął się prowadzić jego sprawę.

Jakoż nazajutrz zawiadomiła mnie pani Stefania, że byli u niej na Sosnowej dwaj uroczyście przyodziani panowie, wyrazili zdziwienie, że Sirko, obraziwszy publicznie ich mocodawcę, w którego imieniu przychodzą, opuścił Warszawę nie wyczekawszy przepisowych 48 godzin — i zostawili swoje karty. Tymi sekundantami byli: dr Rafał Radziwiłłowicz, członek redakcji naszej „Prawdy", szwagier Stefana Żeromskiego, oraz Andrzej Niemojewski, stały sprawozdawca teatralny tejże „Prawdy". Byliśmy tedy w swoim gronie, z czego rokowałem sobie najlepsze nadzieje na godziwe załatwienie sprawy i, żeby nie wychodzić poza ludzi z „Prawdy", na drugiego świadka ze strony Sirki poprosiłem powszechnie szanowanego Stanisława Krzemińskiego. Obaj jednak nasi przeciwnicy byli, niestety, dorpatczykami i pojedynkowiczami, znawcami wszystkich sztuczek w prowadzeniu tzw. spraw honorowych, mistrzami w zastraszaniu przeciwnika bezczelnym terrorem — liczyłem więc na powagę moralną Krzemińskiego.

Po powrocie Sieroszewskiego z Petersburga zaczęliśmy się spotykać z sekundantami Weryhy i od razu zrozumiałem, że nie możemy znaleźć wspólnego języka — my, ludzie jednej grupy i jednego pisma. Oni stali na gruncie formalnym — brutalnej publicznej obrazy, i żądali satysfakcji bez względu na motywy tej obrazy. Ja uznawałem fakt obrazy, godziłem się na satysfakcję, ale taką, jaką określi sąd złożony z ludzi nam wszystkim ideowo bliskich, po uwzględnieniu i przestępstwa p. Weryhy, które spowodowało tę obrazę. — Na trzecim spotkaniu zdarzyła się rzecz niespodziewana i niesłychana w tego rodzaju sprawach: w dyskusji stary Krzemiński przeszedł nagle na punkt widzenia strony przeciwnej, i zmusił mnie tym do zerwania dalszych rozmów i spisania jednostronnego protokołu. Ponieważ nie szczędziłem słów potępienia Weryże, panowie sekundanci po zerwaniu rozmów zażądali obaj (jak to jest pono w zwyczajach pojedynkowych) wyznaczenia po dwu sekundantów od nas jako od wyzwanych. Krzemiński odparł, że ani wiek, ani przekonania religijne nie pozwalają mu na podejmowanie spraw „honorowych" w tej formie, a ja odparłem urągliwie, że jeszcze w Dorpacie sprawiłem sobie grubą laskę dębową i że to jest obrońca mojego honoru przed napaściami szukających zwady „honorowych" pojedynkowiczów.

Nałożyli kapelusze i wyszli.

Kłócąc się udaliśmy się z Krzemińskim pieszo do Świętochowskiego. Ten oczywiście uznał moją rację a jednocześnie powiedział, że był u niego przed chwilą Niemojewski z groźbami, że teraz będą ścigać Sirkę jak psa i bić go będą przy każdym spotkaniu, że rozeszlą do wszystkich redakcji listy dyskwalifikujące go jako człowieka honoru i uniemożliwią mu dalszy pobyt w Warszawie i w Polsce. — „Niech wraca, skąd przybył" — zakończył z zajadłą uciechą. Świętochowski ostrzegał nas, że to człowiek w nienawiści bardzo niebezpieczny. Wieczorem poszedłem do Wacława zdać mu sprawę z obrotu rzeczy. Przyjął, co mu powiedziałem i oświadczył, że jest gotów na wszystko; będzie odtąd nosił rewolwer i laskę — będziemy się bić jak w dżungli.

Pomimo spokoju, z jakim przyjął Sirko moje sprawozdanie, nie mogłem spać tej nocy i nawet się nie rozbierałem. Chodząc po pokoju, po sto razy powracałem do myśli, że może nie tak pokierowałem rozmowami, że może być jakieś inne wyjście, że nie wyzyskałem wszystkich możliwości itp. — i oto teraz Wacław za czyn może brutalny, ale płynący z pobudek szlachetnych i bezinteresownych, będzie wyszczuty z ojczyzny, do której tęsknił na zesłaniu, może stracony będzie dla Polski utalentowany pisarz, który ma tyle jeszcze do powiedzenia. Ale czyż można było dopuścić do przeprosin lub pojedynku — jedno i drugie byłoby ni mniej ni więcej niż aprobatą niecnego czynu Weryhy a pośrednio rehabilitacją redaktorów „Roli" i „Przeglądu Katolickiego" — Jeleńskiego i księdza Godlewskiego.

Stanisław Stempowski — *rys. Marek Rudnicki*

Na tych gorzkich rozmyślaniach zastał mnie błękitny, zimowy świt. Dochodziła godzina szósta. Sięgnąłem po rozkład pociągów — gdzieś pod progiem świadomości wciąż przewijała się nikła nadzieja, na niczym nieoparta, pokładana w osobie dr. Rafała. O szóstej z minutami odchodził pociąg do Pruszkowa. Zerwałem się, włożyłem futro i cicho, żeby nikogo nie budzić, wyszedłem. Od mieszkania do Jerozolimskiej było do Dworca Wiedeńskiego paręset kroków. Spieszyłem nie myśląc i tak samo w wagonie nie myślałem o tym, po co jadę... Wziąłem w Pruszkowie sanki do Tworek, gdzie Radziwiłłowicz był naczelnym lekarzem. Szwajcarowi dałem swoją kartę, żeby mnie zameldował dyrektorowi w pilnej sprawie. Dopiero gdy stanąłem przed drzwiami gabinetu, naraz uprzytomniłem sobie, że popełniam rzecz niedopuszczalną z punktu widzenia „kodeksu honorowego" — po zerwaniu układu i odmówieniu dania satysfakcji sekundantom — udawać się prywatnie do jednego z nich! I po co?

Na moje pukanie i odpowiedź „proszę" pchnąłem drzwi. W obszernym gabinecie unosił się smugami niebieski dym od papierosów. W głębi, przy ogromnym, zawalonym papierami biurku oświetlonym lampą, w skórzanym fotelu siedział doktor ubrany, z twarzą niewyspaną. Idąc od progu ku niemu mówiłem: „Przychodzę do was, doktorze gdyż całą noc nie mogłem oka zmrużyć..." „A i ja nie spałem — przerwał mi. Siadajcie." „No, to się zrozumiemy". — I jak w gorączce, w jakimś porywie natchnienia przedstawiłem obraz tego, co będzie wynikiem i dalszym ciągiem sprawy Sirki, o ile ma się ona toczyć trybem „honorowym". Snać była moc przekonywająca w moich słowach czy w szczerej, serdecznej intonacji głosu, bo gdy urwałem, doktor zapytał: — „Więc cóż mam robić?" — „Jedźcie ze mną do Warszawy!"—rzuciłem bez namysłu, nie wiedząc sam dlaczego. Radziwiłłowicz nacisnął machinalnie dzwonek na biurku. — „Zaraz konie na pociąg" — rzekł do szwajcara. Umył się w drugim pokoju, gdy ja siedziałem jak zaczarowany w jakimś dziwnym osłupieniu.

Nie mówiliśmy z sobą przez całą drogę ani słowa. Na stacji wziąłem dorożkę i kazałem jechać na Sosnową, gdzie mieszkał Wacław. Była już ósma. Służąca powiedziała, że pan w łazience. Poszedłem i przez drzwi nakazałem, żeby natychmiast wyszedł, gdyż jestem z Radziwiłłowiczem w sprawie niecierpiącej zwłoki. Po chwili zjawił się Sirko i ja zacząłem bąkać, że oto przyjechaliśmy itd. — „Panie Radziwiłłowicz — przerwał mi Wacław — skoro pan tu jest, oddaję sprawę mojego honoru w pańskie ręce. Jak pan postanowi, tak będzie. Żegnam panów". Skłonił się i wyszedł. W milczeniu wyszliśmy z doktorem i dopiero na schodach Radziwiłłowicz stanął z głową spuszczoną i mruknął: — „I cóż teraz będzie?" Objąłem go za szyję, ucałowałem gorąco i rzekłem: — „Będzie dobrze. Nie zmarnujcie tylko Sirki". — I rozstaliśmy się.

Dowiedziałem się potem, że dr Radziwiłłowicz jako arbiter Sirki uczynił wszystko, czego na próżno domagałem się od niego i jego towarzysza podczas pertraktacji honorowych — zwołał sąd obywatelski w składzie ludzi z naszej sfery i wziął w nim udział jako arbiter. Sąd rozpatrzył motywy, które skłoniły Sirkę do wybuchu, i orzekł, że wprawdzie reakcja na czyn nieobywatelski p. Weryhy była grubiańska, ale potępił jednak p. Weryhę za złamanie solidarności obywatelskiej dla celów merkantylnych i sprzeniewierzenie się zobowiązaniu, które podpisał w redakcji „Tygodnika Ilustrowanego".

W parę lat później dowiedziałem się, że mój niepoczytalny z punktu widzenia przyzwoitości towarzyskiej czyn wydał jednak niespodziane owoce. Oto z inicjatywy doktora Radziwiłłowicza powstała w Warszawie Liga Antypojedynkowa, zwalczająca tego rodzaju załatwianie zatargów, które rozpowszechniło się dzięki dorpatczykom i ryżanom, a za pomocą pojedynków rehabilitowali się najczęściej szubrawcy.

Latem tegoż roku wpadł (właśnie wpadł) do mnie Ludwik Krzywicki i wzburzony opowiedział mi taką historię. — Otrzymał od stryja, jedynego z rodziny, którego opinię cenił, list zawiadamiający, że dostał z poczty numer nielegalnego pisemka [illegible] ustęp o Ludwiku jako zdrajcy narodowym, prowokatorze itp. Stryj prosił Ludwika, żeby przyjechał i wytłumaczył, co to wszystko znaczy, że jest chory i chciałby się z nim zobaczyć. Po przeczytaniu tego listu Krzywicki poszedł do redakcji „Gazety Polskiej", w której dla zarobku prowadził dział polityczny (depesz), by uprzedzić redaktora Jana Gadomskiego, że musi wyjechać na kilka dni. Zastał tam innego stałego współpracownika, p. Bolesława Koskowskiego, endeka i, jak mniemał, współpracownika owego nielegalnego pisemka. — Na jego widok nie mógł się powstrzymać od wybuchu oburzenia, nie podał mu ręki i zakrzyczał na niego: „Powiedz pan swoim przyjaciołom politycznym, że są zbiry i łajdaki!" — po czym wyleciał z redakcji wprost do mnie, żeby mnie poinformować o zajściu i prosić o zajęcie się tą sprawą, gdyby miały wyniknąć dalsze konsekwencje.

Krzywicki zastał już stryja na katafalku — nie mógł potem pogodzić się z myślą, że umarł z tą kalumnią w ręku. Został już na pogrzebie stryja, a gdy wracał do Warszawy, aresztowano go na dworcu i osadzono w Cytadeli na kilka miesięcy (sprawa działaczy oświatowych). Od pani Krzywickiej dowiedziałem się, że zaraz nazajutrz po wyjeździe męża zjawili się dwaj eleganccy panowie w cylindrach i zostawili swe karty wizytowe. Byli to pp. Władysław Rabski z „Kurjera Warszawskiego" i Aleksander Czechowski, współpracownik „Gazety Polskiej".

Kiedy po pięciu miesiącach cytadeli powrócił Krzywicki do domu (Złota 36 czy 38), zaraz nazajutrz (co za humanitarna punktualność pojedynkowiczów) zjawili się ci sami w cylindrach i p. Ludwik wskazał im mnie jako swego sekundanta. Nauczony smutnym doświadczeniem z Krzemińskim i własną niezdarnością w takich sprawach, dobrałem sobie kogoś bezwzględnego, zimnego i okrutnego jak szpada, za którego plecami byłbym jak u Boga za piecem — mianowicie Aleksandra Świętochowskiego. Zgodził się chętnie, jako że sprawa była bardzo dobra, a i na panów sekundantów kurierkowych miał chrapkę. I nie zawiodłem się. Podczas dwukrotnych konferencji pastwił się po prostu nad przeciwnikami, którzy jak żaki słuchali potulnie bardzo ostrych słów pod adresem swego klienta. Miałem istną uciechę, patrząc na wijące się pod ciętym słowem Świętochowskiego endectwo. Oczywiście skończyło się na tym, że odmówiliśmy wszelkiej satysfakcji p. Koskowskiemu, jako należącemu do tajnej szajki odzierającej z czci w sposób zaiste nikczemny ludzi z przeciwnego obozu i podrzucającej swe paszkwile rodzinom krzywdzonych i nie mogących się bronić. — Spisaliśmy w tym sensie protokół i na tym się skończyło.

Stanisław Stempowski

*) Szczegóły zob. Grabca „Czerwona Warszawa" str. 138—139 i Al. Heflicha art. w „Niepodległości" t. VI. 1932 r.)

Na rogatkach kultury

KAWIARNIANI KLASYCY

Wszak też język libijski między sobą macie,
niechaj nikt nie zrozumie, co z sobą gadacie.
Peregrynacja dziadowska, 1612.

W tygodniku, którego zasługi są bezsporne, w „Kuźnicy", ukazał się artykuł znakomitego literata, Aleksandra Wata „Antyzoil albo rekolekcje na zakończenie roku", przeznaczony zapewne — sądząc ze sposobu wykładu — dla niewielkiej liczby czytających. Próbką stylu tego artykułu jest choćby następujące zdanie:

„Szczególnie trudna jest tu rola pisarza, który wydany jest na wszystkie ryzyka nieskoordynowanej myśli, przeszedł przez najkonsekwentniejsze rozbicie osobowości, przez relatywizację pojęć i metafor, odbył nihilistyczne podróże do kresu nocy, zbyt często zdany wyłącznie na acheront podświadomości, na domiar stracił zaufanie a czasem i nabrał wstrętu do słowa, na domiar nie potrafi — i nie powinien pod grozą paraliżu twórczego! — przeprowadzić syntaktycznej analizy swoich koncepcyj".

Nic dziwnego, że jedno z pism, najlepiej odczuwających opinię publiczną w Polsce — „Życie Warszawy", zamieściło list czytelnika ze skargą na niezrozumiały styl tego artykułu. Jest rzeczą wiadomą, że w środowisku inteligencji pracującej, a szczególnie wśród nauczycielstwa powszechne są skargi na niezrozumialstwo prawie całej naszej prasy literackiej. Wspomniany artykuł był tylko jednym z licznych przykładów — powiedzmy — „elitaryzmu publicystyki literackiej".

Kronikarz „Kuźnicy", rdc, odpowiedział na list „Życia Warszawy" notatką, w której, w obronie niesłusznej sprawy, użył, aby dodać sobie odwagi — powiedzmy łagodnie — zbyt pewnego siebie tonu.

Rdc pisze między innymi: „Pisarze, zwłaszcza gdy dyskutują o sprawach literatury, mają prawo używać takiej terminologii, jaka jest im potrzebna, zaś czytelnicy pism specjalnych, a niewątpliwie pisma literackie są takimi pismami, powinni orientować się w zagadnieniach na tyle choćby, by wiedzieć, że objętość słownika i zakres pojęć potrzebnych do napisania reporterskiej wzmianki w „Życiu Warszawy" nie wystarczy do napisania literackiego essayu".

Z gruntu fałszywe i błędne twierdzenie. Pisma literackie nie są biuletynem wewnętrznym cechu pisarzy DLA SIEBIE, są natomiast czasopismami o literaturze dla społeczeństwa, nieodłączną częścią którego są również literaci. Publicystyka literacka niewątpliwie wymaga używania niektórych specjalnych terminów, ale nauka o literaturze nie jest wiedzą tajemną i tworzenie szyfru wewnętrznego literatów przez nagromadzanie niezrozumialstwa słów i stylu służyć może jedynie pokrywaniu niejasności myśli. Bolesław Prus był — zdaje się — wybitnym literatem, a przecież pisał jasne artykuły literackie i jasne wzmianki reporterskie.

Lenin, który w rubryce „zawód" w paszporcie podawał się za dziennikarza, pisał w roku 1924:

„Używamy obcych słów bez potrzeby. Używamy ich nieprawidłowo. Po co mówić „defekt", kiedy można powiedzieć: brak, niedostatek, wada... Jeśli temu, który niedawno się nauczył czytać, można wybaczyć używanie jako nowości obcych słów, to literatom tego wybaczać nie wolno. Czy nie czas, abyśmy wypowiedzieli wojnę używaniu obcych słów bez potrzeby?".

Używając stylu rdc, należałoby zakończyć te uwagi następująco:

„Zwracamy uwagę rdc, że zamieszczanie jego notatki pozbawione jest jakiegokolwiek sensu. Można być świetnym znawcą literatury i świetnym pisarzem, nie wiedząc co to znaczy ferdydurkizacja, ale nie można być, powiedzmy, marksistą, jeśli się nie zna podstawowych założeń i wymagań tej nauki w dziedzinie języka. Wtedy trzeba się uczyć, wiek przeminął złoty".

Ale arogancki ton jest tu niepotrzebny Bronię bowiem słusznej sprawy.

Prostota, przejrzystość i świeżość języka idą zawsze w parze z głębią, jasnością i odwagą myślenia

*

Idzie o sprawę bardziej istotną niż niepotrzebne zaśmiecanie języka wymyślnymi obcymi wyrazami. Niewątpliwie, uprzemysłowienie kraju wprowadzi do słownika wiele nowych wyrażeń technicznych. Niewątpliwie, upowszechnienie nauki wzbogaci może język o wiele obcych terminów, które zostaną oswojone i unarodowione.

Ale między organicznym wrastaniem do mowy słów, narzuconych przez rozwój i postęp, a tradycją popisywania się wobec drobnomieszczańskiego nieuka powierzchowną uczonością jest wielka różnica. Po jasnej i przejrzystej publicystyce okresu pozytywizmu, Bolesława Prusa i Aleksandra Świętochowskiego, nastąpił okres pisarstwa Młodej Polski, Stanisława Brzozowskiego. Reakcja myślowa szła w parze z reakcją w dziedzinie języka. Stanisław Brzozowski zapoczątkował modę popisywania się cytatami i cudzoziemszczyzną ni w pięć ni w dziesięć. Było to łechtanie guścików drobnomieszczańskiego nieuka; w tej modzie tkwiła chęć fałszywego pasowania kołtuna na intelektualistę.

Ta tradycja, którą czas wreszcie przeciąć, ciągnęła się i doszła do szczytu rozwoju w okresie sanacji. Język publicystyki literackiej okresu sanacji, a nade wszystko język partyjno-sanacyjnej literatury pięknej skostniał, zlodowaciał, zamknął się w kręgu słownika grupy wybranej, obracającej się między sobą, w swoim zamkniętym kole. Kawiarnia, ten nowoczesny salon drobnomieszczańskiej cyganerii, stała się kuźnią językowego szyfru cechu pisarskiego. Narodził się kawiarniany klasycyzm.

Niejednokrotnie pisano o nierównomierności rozwoju przemian gospodarczych, politycznych i kulturalnych w nowej Polsce, która dokonała łagodnej rewolucji w dziedzinie życia gospodarczo-politycznego — na odcinku kultury przetrwały tu i ówdzie pasma obyczajowości i schematy ideowe sanacji. Jeżeli, tu i ówdzie, ohydne przejawy wazeliniarstwa, karierowiczowskiego lizusostwa, bufonady stownej, poszczególnych uroczystości oficjalnych są mniej groźne, bo są widocznie i systematycznie tępione — to znacznie bardziej niebezpieczne i utajone są pozostałości sanacyjne w innych dziedzinach kultury.

Od stosunku wobec języka Młodej Polski do Adama Skwarczyńskiego i Kaden-Bandrowskiego ciągnie się jedna droga rozwojowa, wsteczna droga wyodrębniania, odosobniania języka literackiego od języka potocznego. Ta linia rozwojowa przetrwała okres okupacyjny. To nie był jedyny nurt w literaturze, był to jednak nurt popierany przez oficjalną krytykę literacką okresu sanacji. W nowej Polsce, rozpoczynającej wielkie przemiany w naszym kraju, tworzymy nowy styl naszej epoki. Nowy styl epoki — to nowy, rewolucyjny stosunek do sprawy odnowienia języka, do zagadnienia dialektycznej jedności języka literackiego i potocznego. I jeżeli dla krytyka literackiego jest rzeczą zgoła obojętną, jakie są osobiste poglądy polityczne Marii Dąbrowskiej — to nie może mu być obojętny fakt postępowego wkładu stylu tej wielkiej pisarki do rozwoju języka narodowego.

Zagadnienia czytelnictwa w Polsce, to nie tylko sprawa wspólnoty uczuć i przeżywań artysty-literata z narodem, ale w równej mierze sprawa wspólnoty języka, pojętego jako zjawiska w ciągłym, nieustannym ruchu i postępie.

Kiedyś, przed laty... Adam Mickiewicz w rozmowie z Chodźką w 1844 r. opowiadał o pierwszym swoim powodzeniu:

„Pierwszy człowiek, któremu szczerze podobały się te poezje, był drukujący je zecer: nazywał się Bończyk... Pierwsze 500 egzemplarzy rozkupiono nadspodziewanie prędko. Służące i pokojowe kupowały najwięcej. Bystre oko Zawadzkiego dojrzało to natychmiast. Biją drugie wydanie, 1500 egzemplarzy..."

„Kiedy tak w przedpokojach czytają, w salonach śmiech i oburzenie..."

A zatem nakład pierwszych poezji Mickiewicza wzrósł nagle dlatego, że język ich był jasny, prosty i zrozumiały dla służących i pokojowych, że był to język narodowy. Potwierdza to list Kajetana Koźmiana z marca 1827 r do Morawskiego.

„Sonety Mickiewicza najlepiej oznaczył Mostowski jednym słowem: Paskudztwo. Nie wiem, co w nich można znaleźć dobrego. Wszystko bezecne, podłe, brudne, ciemne; wszystko może krymskie, tureckie, tatarskie, ale nie polskie... Mickiewicz... GMATWANINĄ SŁÓW NIEPOJĘTEGO JĘZYKA, NIEPOJĘTE I DZIKIE POMYSŁY BAJE.... MICKIEWICZ BRUDNY, KARCZEMNY... MICKIEWICZA NIESFORNY ZAPAŁ ROZDMUCHAŁY BRUDNE LITEWSKIE POMYWACZKI..." itd. itd.

Syn Kajetana, Andrzej Koźmian, tak się odzywa o Sonetach: „Cóż to są te Sonety Mickiewicza, za którymi szaleje Morozewicz i tłumaczy już po francusku i angielsku? LECZ JA JE DOPIERO PO FRANCUSKU ROZUMIEM i dlatego też namawiam Morozewicza, żeby dał tytuł:Tłumaczenie Sonetów M-a na język francuski, dla polaków".

Tak oto walka między klasykami a romantykami była przede wszystkim bitwą o język. Rewolucja, jakiej dokonał Adam Mickiewicz w czytelnictwie poezji, polegała na tym, że w okresie, kiedy między językiem literackim a językiem potocznym powstała przepaść, miał odwagę i siłę, wbrew snobizmowi ówczesnych salonów, język literacki przełamać i rozłupać, stworzyć dlań szerszy oddech i okno na świat.

Mickiewicz i romantyzm dokonali więc rewolucji w czytelnictwie XIX wieku dlatego, że wraz z wspólnotą uczuć przynieśli wspólnotę językową z narodem. A być rewolucjonistą — to wielkie słowo. Pozostaje ono jednak pustym dźwiękiem, jeśli się nie potrafi przełamać szablonu i skostnienia w codziennej praktyce i pracy literackiej.

Jerzy Borejsza

MIECZYSŁAW JASTRUN

WIDMO DOMU*)

O uzdrowieniu pani Celiny, które tyle komentarzy wywołało w prasie emigracyjnej i w rozmowach przyjaciół poety, mamy kilka relacyj. Podajemy je tu za Władysławem Mickiewiczem.

„Towiański pierwszy raz przyszedł do Mickiewicza, kiedy ten odwiózłszy żonę, tylko co był wrócił do mieszkania ze ściśniętą utrapieniem duszą, w stanie bliskim rozpaczy i zwątpienia." „W głębokim smutku, mówił Adam, dałem był rozkaz służącej nikogo nie wpuszczać. Ktoś zadzwonił. Służąca zaczęła tłumaczyć, że nie przyjmuję. Gość na to: — Oznajmcie waszemu Panu, że przybywam z Polski i mam obowiązek do spełnienia. — Usłyszawszy to, wyszedłem do sieni i gościa wprowadziłem do mego pokoju. Obawiałem się, aby nie przychodził prawić mi o jakich spiskach. Tyle już nasłuchałem się podobnych projektów. Zasmuciłem się na myśl cierpień, które każda taka próba sprowadza na kraj. Po zarekomendowaniu się i przypomnieniu, że przed 20 laty spotkał się ze mną, Towiański rzekł mi, że przynosi dobrą nowinę. Spostrzegłszy, że słucham go z roztargnieniem, dodał: Duch twój uwięziony gdzie indziej. — Ja na to: Nie wiecie może o moich biedach domowych, i mu je opowiedziałem. Towiański zapytał, jak żona moja z domu: Szymanowska. — Czy z rodziny hrabiów tego nazwiska? — Nie. — Oświadczył mi, że zna potęgę ducha objawioną przez Pana naszego i że żonę moją uzdrowi; odpowiedziałem mu, że wierzę w miłosierdzie Boże. Kazał mi ostrzec moich przyjaciół, że ją zdrową zobaczą, zabrać ją do siebie i dodał: Wojsko by stanęło pomiędzy nami, to je rozproszę. — Ton jego mię uderzył i uwierzyłem w jego słowo." „Straszną przepędziłem noc! Była to walka Jakóba. Zaufałem na koniec w potęgę miłosierdzia Pańskiego." „Poszedłem zawiadomić kilka osób. Stary doktór, Polak, wątpiąc czy jestem przy zdrowych zmysłach, wziął mię za rękę i nieznacznie zaczął mi puls macać, co spostrzegłszy, roześmiałem się. Pojechałem po żonę. Dyrektor sądził, że chcę żonę odebrać dlatego, że nie rad jestem z jego zakładu i chcę ją w innym umieścić. Wynikła stąd ciekawa i pocieszna scena. Ostatecznie powiedział mi: Zresztą jest to twoja żona, możesz nią rozporządzać jak ci się podoba." „Zabrałem ją. W salonie zebrało się kilka osób, nie te, które uwiadomiłem, ale przypadkowo nadeszłych. Między tymi czterema czy pięciu osobami znajdował się Izydor Sobański. Celina miała twarz jak z gipsu, wzrok osłupiały, była w paroksyzmie choroby. Towiański zbliżył się do niej, wziął ją za ręce, szepnął parę słów tak cicho, żem ich nie usłyszał. Celina padła na kolana a wstawszy zaczęła ściskać męża i dzieci. Wzruszenie obecnych było nadzwyczajne." „Odzyskanej przytomności nigdy już nie straciła." „Sama pani Celina, w kilka lat później, ustnie poleciła wspólnej znajomej zdarzenie to szczegółowo siostrze powtórzyć." „Pani S. opowie ci, pisała pani Celina do Heleny Malewskiej, co słyszała ode mnie o moim uzdrowieniu, przyjmij to do duszy, moja Heleno, gdyż to są rzeczy wielkie i święte, o których bez bojaźni Bożej mówić nawet nie wolno."

W opowiadaniach tych nie ma nic nadzwyczajnego. Mniemany cud tłumaczy się znanym w psychiatrii zjawiskiem. Cały bieg życia pani Celiny pozwala wnioskować o podatności jej na wpływ silnego człowieka, mężczyzny, obdarzonego wolą rozkazodawczą. Jak dotychczas ulegała we wszystkim mężowi, tak odtąd czuła się niewolnicą mistrza Andrzeja. Uzdrowienie jej zresztą było pozorne. Uderzona potężnie oczami magnetyzera ocknęła się na czas jakiś z choroby, która jednak nie opuściła jej zupełnie, wracając w dłuższych lub krótszych odstępach i niszcząc jej organizm. Mickiewicz, oszołomiony tym nagłym uzdrowieniem, zapomniał jakby o pierwszym napadzie choroby w czasie pierwszego pobytu w Lozannie, gdy Celina pozostała sama w Paryżu. Z tego izejszego zresztą ataku obłędu Celina wyszła bez niczyjej pomocy. W późniejszych okresach pomoc cudotwórcy zawodziła.

Adam Mickiewicz we współczesnym rysunku

Ale fakty nie są tu najważniejsze. Mickiewicz pragnął cudu, pragnął go, jak wszyscy emigranci, ludzie trawieni nieuleczalną chorobą tęsknoty i nieprzystosowania na tułactwie.

Pojawienie się Towiańskiego połączył zaraz ze snem o nim, prostym szlachcicu litewskim, jadącym w kałamaszce, i skojarzył z niejasnym przypomnieniem jego twarzy z jakiegoś spotkania w Wilnie.

Odyniec, który był człowiekiem trzeźwym, zostawił nam świadectwo w tym wypadku pewne, że wiele z tych sekretnych szczegółów z życia Adama, które Towiański opowiedział Mickiewiczowi, by podbić go do reszty, zawdzięczał mistrz Andrzej poufnym rozmowom, jakie w latach 1835 i 1836 odbył z nim w Dreźnie. Wiadomo, że Odyniec był plotkarzem i przy tym lubił się przechwalać przyjaznymi stosunkami, jakie łączyły go z wielkimi ludźmi.

Towiański postąpił sobie z Mickiewiczem na podobieństwo wróżbiarzy, stawiających kabałę i odgadujących przyszłość. Można by powiedzieć, że dzięki uprzejmości Odyńca miał zadanie od nich łatwiejsze. Ale cóż to mogły być za „sekrety, o których tylko Bóg jeden i ja wiedzieć mogłem", jak to z najgłębszym zdumieniem i strachem bożym wyznał później Mickiewicz? Może były to jakieś tajemnice prywatne, które podpatrzyli szpicle moskiewscy w czasie pobytu poety w Rosji, gdy był stale i systematycznie śledzony? Towiański obracał się w różnych sferach. Nic z tych sekretów nie wydał Towiański w opisie stanów poprzednich, teraźniejszych i przyszłych poety. Według tego mistycznego życiorysu Mickiewicz był niegdyś „rycerzem kamiennym, zakonnikiem, Dziewicą Orleańską, prorokiem przed Chrystusem. Dziś nim jest i będzie".

Ten horoskop stawiany na opak, w przeszłość i potrącający zaledwie o przyszłość, nie świadczy o zbyt wielkiej wyobraźni Towiańskiego i wynalazczości jego pióra. Wielki Nieszczęśliwy nie pytał go o paszport. Pragnął cudu. I uwierzył.

✤

Towiański osiadł w Nanterre pod Paryżem. Nanterre, miejsce smutne, ziemia jałowa, bez rzeki i lasu. Surowość okolicy miała powagą chrześcijańskiej prostoty ozdobić proroka nowej religii, miała być dla braci nauką i przestrogą.

Mówiono o niezwykłym natężeniu ducha, w jakim żyje Towiański, mówiono o surowej regule, w której żyć mają bracia i siostry nowego zakonu. Mówiono o nędzy, w której teraz z wiarą i nadzieją żyje rodzina Mickiewiczów. Dzieci ich nie były nigdy dotąd tak zaniedbane i pozostawione sobie, jak w tym czasie, w miodowych miesiącach towiańszczyzny. I mimo że piękna nieznajoma, Xawera Deybel, która przybyła wraz z Towiańskim do Paryża, zamieszkała w domu poety, by opiekować się dziećmi i czuwać nad zdrowiem Celiny, nigdy dom ten nie był tak opuszczony i nierzeczywisty, nie dom, widmo domu.

Pierwszym oficjalnym aktem towiańszczyzny było nabożeństwo dziękczynne „za łaski zlane przez Pana" — w Nôtre Dame. Dwustu pielgrzymów wysłuchało mszy. Mickiewicz i Towiański przystąpili do komunii. Po mszy Towiański przemówił do zebranych. I to przemówienie ze stopni ołtarza, nie praktykowane dotąd w kościele katolickim, wywarło wielkie wrażenie na zgromadzonych tu Polakach. Towiański, obwieściwszy nadejście epoki Chrysusowej, „upadł na ziemię czołem". Półmrok średniowiecznej katedry, rozrywany blaskami witraży, przerażające niemal piękno tej świątyni dawały mętnym i nieudolnie wyrażonym proroctwom Towiańskiego tło niezwykłe i wykrzesany z tych murów i kolorów, pozór prawdy i siły.

Prasa emigracyjna oceniała na ogół trzeźwo wystąpienie Towiańskiego i cały ruch pod jego egidą. W niej po raz pierwszy pojawiły się aluzje podejrzewające Mistrza o kontakty z ambasadą rosyjską. Niektóre pisma nazywały go po prostu ajentem cara Mikołaja. Ruch, który powstał wokół towiańszczyzny przesłonił z początku inne sprawy, dostarczał żeru dziennikarzom i amatorom plotek. Plotka urastała do wymiarów metafizycznych i niestety zbyt często zmieniała się w Prawdę, która rzadko idzie z nią w parze.

W Nanterre Mickiewicz przebywa wraz z Towiańskim i powiedzielibyśmy (bez obawy, że obrazimy Legendę, która wiele pracowała, by cały ten okres przesłonić mieniącą się zasłoną) traci czas na dysputach z Mistrzem. Te ostatnie miesiące 1841 roku są okresem najlepszej ich zgody, po prostu dlatego, że Mickiewicz nie otrząsnął się jeszcze z mistycznego olśnienia po uzdrowieniu żony, wierzył bez cienia wahania Mistrzowi Andrzejowi i był mu uległy we wszystkim jak nigdy potem.

Towiański zaś upajał się niezwykłym rzeczywiście tryumfem. Jak najbieglejszy prestidigitator zdołał od jednego spojrzenia zawładnąć największym umysłem ówczesnej Polski, człowiekiem większym niż niekoronowany król

Celina Mickiewiczowa według współczesnej ryciny

emigracyjny — książę Adam Czartoryski, o którego pozyskanie dla sprawy będzie długo i bezskutecznie zabiegał. Zapewne, znaczenie Mickiewicza było innego rodzaju, w sferze praktycznej było raczej małe, ale Towiański, królujący w swojej Utopii i rozkazujący duchom tylko — tak przynajmniej wydawało się z początku wielu emigrantom — szedł po linii mniejszego oporu, uderzył tam, gdzie łatwiej mu było zdobyć zaufanie.

Jest rzeczą godną uwagi, że jedna z pierwszych not Towiańskiego do Mickiewicza, owych prostackich not, które miały ułatwiać mistrzowi prowadzenie dysput mistycznych z uczniem, zawiera wiersz Towiańskiego, podyktowany mu rzekomo przez ducha Mickiewicza, wiersz tak nędzny, że już samym swym kształtem zdradza kłamstwo autora tego „memorandum". Wiersz ów wzywa Adama do złamania pióra, gdyż to, o czym śpiewał dotychczas, było poczęte z „próżności".

Rękopis tego podstępnego wierszyka wręczył Towiański Mickiewiczowi z dopiskiem: „Dziękując Panu za to miłosierdzie, niepraktykowane na ziemi, składa skarb ten Adamowi — Andrzej".

✤

W starym kościele świętego Seweryna obraz Najświętszej Panny Ostrobramskiej patrzy na polskich pielgrzymów, którzy przychodzą modlić się do tej świątyni. Jest to lśniąca od werniksu kopia, wykonana przez Walentego Wańkowicza, tego samego, który namalował piękny portret Mickiewicza na tle skał krymskich. „Wańkowicz z tępą głową — pisze pamiętnikarz *) — zaprzątnięty jedynie malarstwem, nigdy się nie wdawał w głębsze idee naukowe lub religijne; ale skłonny do ponurych marzeń, uderzony pozorną wielkością pomysłów Towiańskiego i mistycyzmem, którego nie rozumiał, ślepo mu zawierzył i tylko w praktyce domowego życia dawał uczuć swą gorliwość o pobudzanie do górnego pędu wszystkich, na których mógł działać. Z zasad Towiańskiego wypadało, że przez miłość bliźniego należy pobudzać do górnego pędu wszelkimi sposobami, jakie tylko mogą być skuteczne. Zatem nie zważając czy to swoi czy obcy, czy mamy nad nimi jakie prawo, czy nie mamy żadnego, skoro tylko mamy zręczność po temu, powinniśmy pysznych upokarzać, mającym pęd dolny szkodzić nawet, żeby ich przeto zwrócić do górnego pędu. Więc tym bardziej jeśli żona, dzieci lub sługi wydają się komu zniżającymi się na drabinie, powinien je karcić, surowo karać i dręczyć nawet, aż póki się nie zwrócą ku górze. Rodziców nawet nie powinien szanować, jeśli mu się zdaje, iż mają pęd dolny. Owszem okazywać im pogardę, aż póki się nie poprawią.

Sam Towiański dał przykład takiego postępowania z rodzicami, kiedy się ożenił. Upodobał był pannę Maksównę, córkę fabrykanta powozów, który już był umarł, a została tylko matka. Ta staruszka miała jakiś defekt w nogach i dla złagodzenia cierpień kazała sobie je drapać, kiedy się kładła do łóżka. Towiański uznał to za pęd dolny i wmówił w swoją narzeczoną, żeby do ślubu nie prosiła o błogosławieństwo matczyne, gdyż matka tego nie warta. Jakoż panna wstawszy rano, kiedy matka jeszcze spała, poszła sobie do kościoła i ślub wzięła. Powróciwszy zaś do domu zabrała swe ruchomości i tylko na wyjezdnym powiedziała matce, że się przenosi do męża z którym już jest po ślubie.

Według tej nauki postępowali z rodzicami i zwolennicy Towiańskiego, ale za to jego mieli za wyrocznię bożą i za pana wszystkiego, co sami posiadali. Zwali go mistrzem i prorokiem, wyższym od Chrystusa i nawet od Napoleona. Żył też nie żałując sobie ich kosztem, póki po swoim ojcu spadku nie otrzymał".

Z właściwym sobie sprytem i wyrachowaniem usiłował Towiański wykorzystać talent Wańkowicza dla swoich celów. Wańkowicz namalował był w Mińsku portret Stroganowa, gubernatora mińskiego. W czasie malowania tej miniatury uczeń mistrza Andrzej doszedł do przekonania, że gubernator, jako człowiek postępowy, zdolny jest do „pędu górnego". Zwierzył się z tym spostrzeżeniem Towiańskiemu. Ów ofiarował gubernatorowi piękny obraz Pana Jezusa pędzla Wańkowicza i pośpieszył za Stroganowem do Petersburga. Stroganow, człowiek inteligentny, zorientował się zaraz po pierwszej rozmowie, z kim ma do czynienia. Obraz przyjął, lecz nie przyjął Towiańskiego, gdy ten chciał go powtórnie odwiedzić. Towiański usiłował nauczać innych Rosjan w stolicy, ale jakoś nikt nie uległ jego wymowie i spojrzeniu przenikliwych oczu. Wrócił więc do Wilna, gdzie miał kilkunastu zwolenników i kilka zwolenniczek. Jeszcze z Petersburga, zaniepokojony listem Wańkowicza, w którym ten przechwalał się, iż w mistycznej drabinie tak wysoko postąpił, iż mistrz nie godzien jest rozwiązać rzemyka u jego butów, przesłał innemu uczniowi swemu, Guttowi, rozkaz, by kazał puścić krew Wańkowiczowi, który widocznie zwariował.

W podróży, którą odbywał z Karolem Massalskim, Towiański chcąc ukarać pysznego towarzysza „przez miłość bliźniego — jak pisze pamiętnikarz — porzucił go na poczcie, o kilka stacyj przed Wilnem, zabrawszy z sobą tłumok, w którym były Karolowe pieniądze i paszport".

Teraz Wańkowicz, który przybył do Paryża wraz z Guttem, śladami Towiańskiego, czyta pod swoim obrazem Najświętszej Panny Ostrobramskiej napis: „O Boże, ku ratunkowi naszemu pośpiesz się". W kościele jest kilku Polaków, uczniów Towiańskiego. Mistrz oprowadza malarza po świątyni i szeptem tłumaczy mu znaczenie inskrypcji: — Przenajświętsza Królowa Korony Polskiej podobała sobie w tej starożytnej, opuszczonej kaplicy, w stronie najmniej okazałej Paryża, i tak w cudownym obrazie wileńskim Ostrobramskim, ku ratunkowi ludu swojego pośpiesza. Oskarżano mnie, że kopią podałem za oryginał. To nieprawda.

— Nieprawda? — dziwi się Wańkowicz, który nie bardzo wie o co chodzi — wilgoć jest w kaplicy — mówi — boję się, żeby nie zaszkodziła obrazowi.

— To przecież nie oryginał — odpowiada Towiański i patrzy ironicznie zza okularów na malarza, który ma w tej chwili wyraz twarzy niezbyt pojętny.

Towiański przyjechał do Paryża w momencie, gdy we Francji niezadowolenie z porządku społecznego i politycznego przybiera niekiedy formy, dalekie od racjonalizmu Saint-Simona czy Fouriera. Pojawili się wróżbiarze i prorocy, przepowiadający upadek orleanizmu, zwiastujący bliski cud. Ganneu i Vintras głosili wówczas podobne nieco do nauki Towiańskiego teorie mistyczne. Świadczyło to wymownie o trudnej sytuacji, w jakiej znalazła się Francja, i zapowiadało bliski upadek dotychczasowych rządów. Apokalipsa rodzi się zawsze z niepewności jutra, z niepokoju, z poczucia bezsiły, kiedy zawiodły inne środki.

Mickiewicz śledził pilnie ten ruch mistyczny, i choć często nie zgadzał się z rozwinięciem idei, przecież sprzyjał guślarstwu francuskiemu, on, który gardził rozumem Francji.

Kiedy przeczytał dziełko Gruan de la Barre'a „Salomon le Sage fils de David, sa renaissance sur cette terre et révélation céleste", uradował się podobieństwem niektórych myśli de la Barre'a do głoszonej przez Towiańskiego teorii pokuty ziemskiej duchów i posłannictwa Izraela.

Z katedry swojej w Collège de France czyni ambonę, z której prawdy nowej religii wygłasza z niebywałym ogniem w słowach i siłą. Kobiety, słuchające tych wykładów, skłonne do egzaltacji, patrzą na Profesora oczami, w których maluje się uwielbienie i zachwyt. Niektóre płaczą.

Mickiewicz przypomina sobie wizje i modlitwy z czasów pobytu swego w Rzymie, z czasów gdy pisał wiersz do Łempickiej i gniewny psalm, w którym rozumowi przeciwstawiał wiarę. Przypomina ogromną pracę duszy, gdy pisał w Dreznie „Dziadów" część III i „Mędrców". Gniewa go wszystko to, co pochodzi z rozsądku, rozumu, rozwagi. Jak niegdyś w „Improwizacji", walczy z tyranią myśli, myśli, której jednak zawdzięcza wszystko. Chce zawierzyć instynktowi, dziecinnym przeczuciom, niejasnym wyobrażeniom.

Zwierza się Towiańskiemu: „Więcej dziś mam trudu w poskromieniu przewagi rozumu, niż miałem w nabyciu onego".

Kiedy mały synek opowiada jakieś dziecinne wydarzenie, Mickiewicz ze łzami w oczach mówi:

„O jakże boleję nad tym, że mi rozum wydarł organ dziecka tego! O gdybym mógł tak czuć, jak ono czuje!"

Mieczysław Jastrun

*) Por. „Odrodzenie" nr 49—1947, nr. 5 i 7 — 1948 r.

*) Edward Massalski.

K. I. GAŁCZYŃSKI

DO MOWY POLSKIEJ

Z akcentem na przedostatniej sylabie,
co mnie zupełnie nie zachwyca —
i znowu „drz" i „grz" i „chrz"
i znowu „pszczoła" i „pszenica"

i znowu drogi mgłą owiane,
(po których chodzi pani z panem,
pan, proszę pani, wyszedł z betów) —

o, mowo polska, zakręt weź,
pianinkiem jesteś, nie organem,
klajstrem, a nie pasją politycznego pamfletu —

z tym swym akcentem z brzydkich brzydszym,
jak rzecz wiecznie niedokończona,
ty zamiast działać, ty się mizdrzysz,
zatruta składnią Cycerona;

skrzypeczko śliczna, dudko dudków,
dziecinko, się skarżąca mamie,
nieutulonych wdowo smutków,
ty muskasz rzeczy, a nie łamiesz,

ty lubisz łasić się, przymilać,
kostium przymierzać osiem razy.
A nam potrzeba monosylab
krótkich i jasnych jak rozkazy.

Nam trzeba więcej rymów męskich,
którymi będziem ćwiczyć Muzę,
nam trzeba w sedno, a nie w księżyc.
żelazem, a nie z ciepłych klusek.

✤

Z akcentem na przedostatniej sylabie
jak biegacz, co mu pękły ścięgna,
jak naród co w pół drogi stanie,
taką ty jesteś, mglisto-senna.

Szczęście, że płyniesz ulicami,
nie tylko w książkach, i jak rzeka
szumisz nowymi akcentami,
gdy człowiek mówi do człowieka;

lecz literacka, z tych odpadków
historii co spadają z wózka,
uff! jak mnie męczysz, Święta Matko,
niedosłowiańska, półfrancuska.

I choć z czerwieni płonących Warszaw
trwalszą niż Anglia flagę zszywam,
mowo polska, ja cię oskarżam:
STAŁAŚ SIĘ LENIWA, NIEŻYWA.

Małe i wielkie legendy

(Dokończenie ze str. pierwszej)

styczniejszej postaci z galerii dziewcząt GL, małej Zosi partyzantki. „Całą rodzinę wymordowali w jej oczach Niemcy. Ją samą, wraz z setkami innych, wepchnięto do bydlęcego wagonu o malutkich, zakratowanych okienkach i wieziono do Treblinki. Jechali dniami i nocami, bez wody, jedzenia i powietrza. Dookoła słabsi umierali, stojąc. Wagon był pełen trupów i trupiego zaduchu. Gdy na którejś stacji, na dłuższym postoju, Niemcy pozwolili wyrzucić trupy, Zosia niezauważona wyskoczyła z wagonu i legła natychmiast nieruchomo, udając nieżywą." Krętymi drogami konspiracji dostała się do autorki, pracowała w drukarni, tam została aresztowana, „na Szucha katowali ją strasznie", kiedy zaś ją wypuszczono z Pawiaka, przyjaciele postanowili wysłać dziewczynkę do partyzantki. Przedtem uczono ją obchodzić się z bronią. Dostawszy pistolet do ręki, postanowiła go wypróbować. „Wyszła na ulicę sama jedna i po prostu strzeliła w łeb pierwszemu napotkanemu żandarmowi." Zginęła w partyzantce, osłaniając wraz z towarzyszem odwrót swojego oddziału. Nie umniejszyłoby jej bohaterstwa nawet to, gdyby autorce przyszła fantazja powiedzieć, że towarzysz, z którym zginęła, to na przykład jej kochanek.

W „Głodnych żywiołach" Skierskiego zabłąkany intelektualista biada nad wciąganiem młodzieży do konspiracji i rozbudzaniem w niej instynktu walki. Sam się czuje upokorzony „zbrodniczymi instynktami", które w nim drzemią. Oto ma ochotę wyrzucić przez poręcz mostu żandarma niemieckiego, opartego o balustradę.

Po latach wtóruje mu drugi moralista, zatroskany o młodzież i dzieci: „Dziecko ALu nie bawi się karabinkiem!"

Z różnych źródeł płyną maksymy moralne i różne są wyobrażenia o pozytywnym bohaterze...

GRZESZNE CIASTECZKO

Obowiązkiem pisarza naszej epoki jest opisać prawdziwie wojnę. Ten, kto widział ludzi, którzy szli na śmierć, albo sam na śmierć szedł — wie, że może najgorętszym pragnieniem ich było, aby ci, co pozostaną żywi, opowiedzieli całą prawdę o zabitych i ich zabójcach. I aby nie upiększali tej prawdy, gdyż wierzono, że tylko prawda przyczyni się do budowy lepszego świata.

Może była to wiara naiwna. Jeżeli nie pierwszym, to w każdym razie jednym z pierwszych obowiązków pisarza jest — opisać prawdziwie wojnę. Ten obowiązek został przez autorkę „Lat wojny" w miarę jej możliwości spełniony. Dała ona pisarzowi do rąk interesujący materiał tematyczny, działaczowi politycznemu i historykowi cenny materiał do dokumentu historycznego. Pisarz powinien wyzyskać swoje środki artystyczne, aby dać obiektywny obraz wojny i człowieka, walczącego z faszyzmem, jeżeli zaś tego nie potrafi, niech gromadzi materiał dla innych pisarzy. Działacz i historyk może uzupełnić materiał Sowińskiej i podnieść go do godności pracy historycznej. Jeśli zaś tego nie potrafi — niech jak Sowińska pisze o swoich towarzyszach, poległych i żywych, o pracy i walce, widzianej swoimi oczyma.

Stanie się to nie tylko cennym materiałem historycznym, ale posłuży również do rozproszenia sztucznych mgieł, fałszywych legend i salonowych snobizmów, może do rozluźnienia zbyt sztywnych kanonów estetycznych literatury, posłuży również do ideowego wzmocnienia demokracji ludowej — czyli mówiąc mniej zużytymi słowami — do zabezpieczenia procesu awansu społecznego, a tym samym do utrwalenia pokoju. To również powinno być celem pisarza. Rozumie się, że działacza politycznego także.

Oczywiście, państwo się nie zawali, jeśli tego obowiązku nie dopełnimy. Otoczy nas tylko potworny krąg fałszywych legend i nieskazitelnych ideałów, rodem z mieszczańskiej komody, i już zgodnym chórem — od Odry i Nysy po Bug i od Bałtyku po Karpaty i Karkonosze — będzie się jak kraj długi i szeroki krzyczeć na zapóźnionego pamiętnikarza: „Dziecko ALu nie bawiło się karabinkiem!"

Zanim nie będzie za późno, szerzycielom takich malutkich i bogobojnych legend przypisuję ten artykulik, a wraz z nim drugą połowę wiersza Różewicza pt. „Rachunek":

Polegli na polu chwały
niepokalani i młodzi
tak mi was strasznie żal
tak strasznie żal.
Jodełka jak gwiazda zielona
wschodzi na mogiłach.

Cztery panie dziobią ciasteczko
różowe ciasteczko bardzo grzeszne.

Niechże im to ciasteczko smakuje. Pewnie jest nadziewane masą czekoladową z orzechami. My róbmy to, co do nas należy.

Tadeusz Borowski

Klub „Odrodzenia" otwiera dyskusję...

Opowiadanie to najeżone wyrazami nieprzyzwoitymi...

„Sąsiadka moja, osoba bardzo oczytana, mówi, że taka książka — to skandal".

„Przeczytałem doręczoną mi książkę pt. „Pożegnania". Niestety muszę stwierdzić, że wywarła na mnie bardzo ujemne wrażenie.

Oczekiwałem utworu o tendencjach poważnych, społecznych, tymczasem są to awanturki bądź to ze sfer półświatka, bądź z kliki osób żyjących „z własnych funduszów" i ich pochlebców.

Opowiadanie to, najeżone wyrazami nieprzyzwoitymi, ordynarnymi, zaczerpnięte ze środowiska zgnilizny społecznej, nie zasługuje na to, by rozpoczynało serię książek Klubu, na szczęście już nie „literackiego".

Czyż mogę książkę tę dać komuś do przeczytania? A co będzie, jeżeli wpadnie ona do rąk młodzieży dorastającej?

Ja nie lekceważę mego czytającego otoczenia, jak to czyni autor.

Mam na myśli chociażby tytuł książki. Tytuł każdego utworu powinien być głęboko przemyślaną kwintesencją jej treści. Autor zlekceważył tę zasadę, jak i czytelnika, dając swej książce tytuł, zaczerpnięty nie z jej treści, lecz, jak sam stwierdza („Odrodzenie" nr 6/167), z tytułu przypadkowo zapamiętanej melodii, usłyszanej w okresie, kiedy pisał swoje dzieło. Tu nasuwa się powiedzonko: „Ni przypiął — ni... przyłatał", (znać już i po mnie wpływ wypinającego się stylu autora)".

Edward Jelonek
Nr leg. 757
(Warszawa)

Książkę Dygata przeczytałam jednym tchem...

„Książkę Dygata przeczytałam jednym tchem i stwierdzam, że od dawna nie zdarzyło mi się przeczytać czegoś równie oryginalnego i dobrego w polskiej beletrystyce nowszej (nie tylko powojennej).

Nie zamierzam pisać tu recenzji, bo od tego są fachowcy (i cieszę się, że Breza tak gorąco książkę pochwalił), ale przecież od tego jest Klub, żeby echo książki wracało do Was, a nawet pośrednio i do autora, i orientowało go we wrażeniu szarego czytelnika. Sami zresztą książkę najlepiej oceniliście, umieszczając ją jako nr 1 (niejako reklamowy) w serii książek klubowych. Wybór zrobiliście kapitalny (i naraziliście mnie na dodatkowy wydatek, z wdzięczności bowiem — zapisałam się do KDK).

Książkę według mego skromnego zdania cechuje przede wszystkim barwny, dowcipny, żywy i własny styl. Autor zdradza w niej dużą kulturę i pewną — nie umiem tego właściwie nazwać — swobodę, łatwość pisarską, w dodatnim tych słów znaczeniu. Ujęcie rzeczywistych wypadków (myślę o popowstaniowej wędrówce i oczekiwaniu na, trafnie nazwaną, nową i nieznaną wolność) nie jest tylko fotograficznym realizmem, ma własny wyraz artystyczny, co już samo przez się jest pewną wartością. To samo zresztą dotyczy żywego, śmiałego ujęcia typów, środowiska itd. Książka należy do tych, z których coś zostaje w pamięci nawet wówczas, gdy w masie przeczytanych książek zatraci się właściwą treść. Tak jak w „Lalce" każdy zapamięta do śmierci starego Minca, ciągnącego papierowego pajaca za sznurek, tak i tu uboczne postacie profesorów Michniewicza i Janowskiego trudno jest zapomnieć. A zwłaszcza ostatnia z nimi scena, którą się długo smakuje (183 str.).

Jeśli idzie o błędy — w trosce o nieskazitelność tej świetnej książki — myślę, że wyrażenie „pęd szybkości" (str. 8) jest niewątpliwie błędne. Co do słowa „pościelić", nawet i „oblec w poszewkę" (str. 171) mam wątpliwości, być może niesłusznie. W każdym razie rzadkie zresztą „wątpliwości słownikowe" w niczym nie umniejszają wartości samego stylu. (por. niechlujstwo Dobraczyńskiego, szczególnie w „Najeźdźcach").

A teraz pochwała dla Klubu, recte „Czytelnika". Książka graficznie przyjemna. Czcionka przejrzysta, papier przyzwoity. Okładka estetyczna, jak zresztą wiele seryjnych książek „Czytelnika" („Żywoty nieurojone" i inne). Korekta nie woła o pomstę do Bogu (jak w „Najeźdźcach", Oficyna Księgarska, jak w E. Kwiatkowskiego „Historii Gospodarczej Świata", Państw. Inst. Wydawn.).

Jedna prośba: żeby Was nie zepsuł pierwszy niewątpliwy sukces. Trzymajcie się nadal, a przysięgam, że będę najwierniejszym Waszym partyzantem (?!to styl Al. Wata, vide „Kuźnica" nr 6 str. 4, w. 39 od góry w pierwszej szpalcie) i propagatorem aż do śmierci. (Z mojej poręki „Pożegnania" przeczytać musiało całe moje otoczenie).

Wanda Chodakowska
Nr leg. 387
(Warszawa)

OBYWATELE I OBYWATELKI!

Rozpoczynamy pierwszą dyskusję w Klubie „Odrodzenia" o „Pożegnaniach" Dygata. Udzielamy głosu tym, którzy się w pierwszej kolejności zgłosili.

Jak zwykle w klubie, a szczególnie liczącym już 11.345 członków, zdania są bardzo podzielone i różne są poziomy wypowiedzi. Sądzimy jednak, że nawet niesprawiedliwe sądy i krzywdzące głosy pozwolą nam wszystkim ujrzeć prawdziwe i niekłamane oblicze czytelnika w Polsce, zaś nasza rozległa rodzina klubowa z czasem uzgodni swoje poglądy i wychowa nowe pokolenie trybunów krytyki literackiej.

Mamy nadzieję, że w najbliższym czasie Stanisław Dygat sam zabierze głos w dyskusji, zaś redakcja klubu ze swego kącika klubowego, tj. w numerze pierwszym z marca br. skorzysta ze swoich praw.

„Pożegnania sprawiły mi wielką radość...

„Kwituję niniejszym z podziękowaniem odbiór książki pt. „Pożegnania" Dygata, która sprawiła mi wielką radość tak wyborem autora jak i szatą graficzną".

Stefan Wawrzyniak (Leszno Wlkp.)
Nr leg. 5666

Mam pewne wątpliwości...

„Jak każdy czytelnik entuzjastycznie powitałem pierwszą książkę K.L. „O". Pragnieniem nas wszystkich jest, aby dobra książka była nie tylko udziałem członków klubu, ale, by popularność jej wzrastała z każdym dniem i zjednywała wielu sympatyków, zarówno autorowi jak i K.L. „O".

Po przeczytaniu pierwszej książki nasunęły mi się pewne wątpliwości, czy rzeczywiście taki cel wytknął sobie K.L. „O".

Treść książki dosyć dobrze ujęta, jeśli pominiemy, że niektóre zdania powtarzają się dwukrotnie, czyta się ją naprawdę lekko i z pewnym zaciekawieniem.

Wartość jej obniża tylko wulgaryzowanie niektórych słów np. „kurwa". Czy realizm autora ucierpiałby na tym, gdyby to wyrażenie zastąpić innym?

Musimy się przecież liczyć z tym, że nasza młodzież zetknie się bez wątpienia z tą książką, a która jej część spotka się z aplauzem myślę, że nie wymaga to komentarzy.

Chciałbym, aby „Wybitni Fachowcy", którzy decydują o wyborze książek, byli w całym tego słowa znaczeniu fachowcami".

Klubowiec
Nr leg. 3809
(Olsztyn)

Czy członkowie Kl. „O." mają być opiekunami „Kulawych kacząt"?

„Klub „Odrodzenia", wydał obecnie Dygata „Pożegnania". Jestem zdumiony. Proszę przeczytać krytykę w nrze 60 „Przekroju" z r. 1946, o książce Dygata „Jezioro Bodeńskie", który pisze tak:

„Wobec tego, iż Dygat... itd. boimy się, iż w tej książce wypowiedział się cały, iż pisarskiej pasji nie starczy na dalsze".

A jednak starczyło i uszczęśliwił właśnie nie kogo innego tylko członków Klubu „Odrodzenia". Czy członkowie „K.D.K." i „Odrodzenia" mają być opiekunami i protektorami „kulawych kacząt". Trzeba było tę sprawę przewidzieć. Raczej „kulawe kaczęta" zostawmy opiece Ministerstwa Kultury, chcemy lektury dobrej i do takiej tęsknimy.

Jeśli nie mamy u siebie nic ciekawego, sięgnijmy do autorów zagranicznych choćby do Galsworthy ego, (powiecie, że to stary, angielski reakcjonista, ten członek K.D.K., ale tak nie jest), Rollanda, Prousta. Czy Nałkowska jest tak poczytna, aby wydawać jej „Węzły życia"? Dobra dla przehisteryzowanych ludzi, a nie dla osób łaknących czegoś zdrowego, normalnego.

Anonim
z Katowic

Doznałam miłego rozczarowania...

„Właśnie skończyłam czytać pierwszą przysłaną mi przez klub „Odrodzenia" książkę Dygata pt. „Pożegnania". Przyznam się, że doznałam miłego rozczarowania, gdyż wbrew ogólnej opinii — książka ta wydała mi się zupełnie dobra i ciekawa. Nie można tu mówić o jakiejś niemoralności, choćby na tle takich powieści, jak „Mity rodzinne" Ważyka. Dużo w niej ciekawych i prawdziwych spostrzeżeń.

Zachęcona pierwszym występem klubu, czekam z niecierpliwością na następną pozycję".

Ludmiła Sawicka
Nr leg. 10423
(Warszawa)

„Pożegnania" nie sprawiły rozczarowania...

„Klub Literacki „Odrodzenia" stanowi zespół o wyraźnej wspólnocie. Oto kilka, a może wkrótce kilkanaście czy nawet kilkadziesiąt tysięcy czytelników, w tym samym czasie otrzymawszy książki K.O., mogłoby doznać jednakowych uczuć pod wpływem tej samej podniety.

Gdyby w wyniku lektury zaistniało nawet tyle rodzajów reakcji, ile podmiotów doznających, nie rozluźni to nieuchwytnej wprawdzie, ale rzeczywistej więzi Klubu. Może ją nawet wzmocni, stwarzając podstawę do wymiany myśli między bardziej wnikliwymi konsumentami literatury, których prof. Szuman mógłby zaliczyć do tzw. „dyletantów", to jest do ludzi kochających sztukę bez wzajemności.

Wprawdzie kładka umożliwiająca łączność między członkami i organizatorami Klubu, w postaci „kącika" K.O., jest wąska, ale trudno się oprzeć pokusie skorzystania z jej pośrednictwa, aby dać wyraz wrażeniom z książki, która otwiera serię wydawnictw klubowych.

Już samo opakowanie pierwszej przesyłki, jak i szata zewnętrzna zawartej w nim książki ufnie nastraja członka Klubu, który lubi mieć do czynienia z solidnymi firmami. Okładka, papier, układ graficzny wyglądają przyjemnie i zachęcająco.

„Pożegnania" Stanisława Dygata, które w zapowiedzi wydawnictw Klubu „Odrodzenia" nazwano „uroczą chłopięcą książką" („Odrodzenie" r. 47 nr 48) nie sprawiły rozczarowania. Na aplauz czytelnika zasługuje przede wszystkim sztuka pisarska Dygata.

Żartobliwy ton narracji, groteskowe sytuacje wytwarzają klimat, w którym się odpoczywa. Soczyste epitety, głównie w słowniku fordanserki Lidki, mogą być ewentualnie zapisane na dobro stylu książki.

Na uwagę zasługuje kompozycja utworu, złożonego z dwóch części, z których pierwsza zawiera opowieść o wałęsaniu się po knajpach Warszawy i Paryża młokosa z „dobrego domu" tuż przed wybuchem wojny 39 roku, druga — o jego obijaniu się w Komorowie i Podkowie Leśnej tuż przed wyzwoleniem.

Gdy zawodowy recenzent za decydujące kryterium uważa artyzm utworu, laik analizując swój stosunek do dzieła posługuje się stereotypowym schematem, który uwzględnia również zagadnienie treści, a właściwie wartości ideowej. I dlatego w „Pożegnaniach", które są niewątpliwie dziełem bujnego talentu, próbuję się doszukać „pionu moralnego".

Za pomocną w tym względzie można by uważać informację wydawnictwa Klubu w nr. 8 „Odrodzenia", gdzie „Pożegnania" nazwano opowieścią o „młodzieńcu z dobrego domu, który się buntuje przeciw otoczeniu i stosunkom panującym między ludźmi", a także wyznanie samego autora, który w wywiadzie prasowym wyjaśnił, że „satyryczny charakter utworu wypłynął z chęci rozrachunku ze środowiskiem, w którym się żyło" („Odrodzenie" nr 6).

Istotnie, bohater opowiadania zdobywa się na jeden czyn humanitarny w stosunku do osaczonego Żyda i parę drobnych ekstrawagancji, ku zgorszeniu lekceważonego przez niego środowiska ojca.

To przedwrześniowe środowisko ojca i popowstaniowe ciotki Walerii, czy sfery „wyższe", zostały zdyskredytowane. Wysoko skoligacona Maryna jest nałogową pijaczką, kuzyn Mirek wałkoniem, a hr. Róża, choć przygarnia uchodźców z Warszawy i okazując radość ze spotkania, stara się złagodzić ciężar doznanej przez nich klęski, również jest przedmiotem krytyki, jakby maskowanie przymusu w świadczeniu bliźnim ponad możliwości nie było tytułem do zasługi.

Nie tylko słabostki i przywary, ale każdy niemal gest ludzi środowiska, w którym się obraca bohater opowiadania, wydają mu się śmieszne i rażące. Trafiłoby to może czytelnikowi do przekonania, gdyby nie oceniał ich człowiek, który do rzeczywistości polskiej, zarówno przedwrześniowej jak i okupacyjnej, sam nic nie wnosi. Przed wojną trwoni czas przeznaczony na studia i hula za cudze pieniądze, a przed wyzwoleniem za „górale" ośmieszanej cioci handluje „twardymi". Bohater nie zdradza zainteresowań społecznych czy patriotycznych.

Wprawdzie w czasie czytania znajdujemy wzmiankę „o dwóch latach Oświęcimia", lecz czytelnik nie bierze tego zbyt serio, (choć wie, że do obozu wyniszczenia trafiali nie tylko uczestnicy walki podziemnej) głównie dlatego, że brzmi ona czysto werbalnie.

Dodatnią postacią w zbiorowisku ludzkim „Pożegnań" mógłby się wydawać lokaj Feliks z manierami wykwintnego pana, w rozrachunkach rzetelny, obdarzony poczuciem taktu i pewną dozą bezinteresowności, jak również osoba z półświatka, fordanserka Lidka, która wśród wulgarnych odezwań, wykrzykuje nie bez szczerości: „chcę być uczciwą dziewczyną"!.

Ale ci przedstawiciele warstw „niższych", oboje „wysferzają" się; lokaj zostaje właścicielem restauracji, a fordanserka — hrabiną.

Satyra jest cenioną i pociągającą artystów formą, bo daje wdzięczną okazję do tworzenia typów artystycznych.

Może właśnie dlatego „Pożegnania" są lekturą lekkostrawną, prawie rozrywkową. Ale z zespołu środków, przy pomocy których autor wywołuje wesołość, jeden należałoby zakwestionować: ludzka niedola nie jest właściwym tematem do żartów.

Tymczasem znękani, bezdomni ludzie wyraźnie śmieszą bohatera opowiadania. Pokpiwa z wyrazu ich twarzy, który mówi: „wszystkośmy stracili", z łapczywości przy stole w domu Róży, a gdy słyszy słowa: „Tylko cud nas uratował", zdobywa się na uwagę:

„Zdumiewająca była ilość cudów w tym powstaniu. Istna ulewa cudów. Około pół miliona osób, każdy na swoją rękę uratował się cudem" (str. 117).

O ile ośmieszanie schematyzmu rozwiązłej burżujki Dodo czy zalecających się do fordanserki starszych don Juanów wywoływało szczerą wesołość, o tyle żarty pozostające w jakimkolwiek związku ze sprawą, która na zawsze skojarzyła się z pojęciem tragedii, nie budzą oddźwięku u człowieka.

Atmosfera beztroski pozwala, zgodnie z opinią krytyki oficjalnej, uważać tę książkę za uroczą, choć niezupełnie „chłopięcą". Przyniesie ona niewątpliwie autorowi wiele zasłużonego uznania, a Klubowi popularność. Można przypuszczać, że i zagranicznemu czytelnikowi trafi do gustu. Nie byłoby jednak wskazane, aby więcej podobnych książek z okresu okupacji poszło w przekładach za granicę. Gdy my czytając powieści rosyjskich, czeskich i francuskich autorów będziemy nabierać zrozumienia i szacunku dla trudu i czynu, hazardu i ofiary, cierpienia i męstwa narodu radzieckiego, czeskiego czy francuskiego — zagraniczny czytelnik gotów utwierdzić się w przekonaniu, że z tą okupacją w Polsce nie było najgorzej, skoro z Oświęcimia powracało się, handlowało złotem, grało w karty, wałęsało po lokalach, jadało „duże śniadania" i nawet kopanie przeciwczołgowego rowu uważało się za rendez-vous eleganckiego świata.

Po fali utworów związanych z tematyką wojenną, przeważnie o charakterze reportażowym i pamiętnikarskim, pojawia się coraz częściej, mimo przypomnień o odwróceniu społecznym, typ amoralnego bohatera, niepozbawionego zresztą wdzięku.

Przeciętnemu konsumentowi literatury wydaje się, że ten typ staje się faworytem. A może to tylko złudzenie. Laikowi wolno nie mieć racji.

Klara Dąbrowska
Nr leg. 4962
(Milicze)

Proszę o skreślenie mnie z listy członków...

Jestem rozczarowany. Proszę o skreślenie mnie z listy członków.

Franciszek Koźlik
Nr leg. 3246
(Pszczyna)

Czeskie Kluby rozpoczęły druk pierwszych swoich książek od nakładu 300 do 1000 egzemplarzy, tyle bowiem miały członków.

Klub „Odrodzenia" liczył po trzech miesiącach swego istnienia (20.I. br.) 7823 członków.

W tydzień później, po ukazaniu się pierwszej książki („Pożegnania" Dygata) liczba członków Klubu wynosiła 8.187.

W chwili obecnej należy do Klubu 11.345 członków.

A więc po ukazaniu się pierwszej książki klubowej liczba członków Klubu „Odrodzenia" wzrosła o 3158.

INSTYTUT LITERACKI

Nowopowstały Instytut Literacki rozpoczął swą oficjalną działalność od zorganizowania zjazdu przedstawicieli polskiej nauki o literaturze w dniach 1 — 2 lutego 1948 r. Celem dwudniowych obrad była dyskusja nad podstawami metodologicznymi zamierzonych prac oraz sprecyzowanie konkretnych postulatów i charakteru wydawnictw. W bardzo interesującej dyskusji zarysowały się dwa stanowiska. Pierwszemu dał wyraz dyr. Instytutu Stefan Żółkiewski, który w swym przemówieniu inauguracyjnym przeciwstawił się idealistycznym i formalistycznym metodom badań literackich i postulował, aby zamierzone prace historyczno - literackie opierały się na szeroko pojętej metodzie socjologiczno-marksistowskiej. Krytykując dotychczasowy dorobek nauki o literaturze, prelegent podkreślał, że na ogół nawet poważne i odkrywcze monografie pomijały sprawę powiązania autorów i dzieł z nurtami społeczno - politycznymi i że zaniedbania te zniekształcają, a nawet uniemożliwiają sprawiedliwą ocenę historyczno - literacką. Dyskusję podjął przewodniczący pierwszego dnia obrad, prof. Kleiner, który kwestionował, czy metody genetyczne (a do nich należy i metoda marksistowska) naprawdę wyjaśniają dzieło. Stanowisku prelegenta przeciwstawiał zasadę „autonomiczności" sztuki, godząc się jednak bez zastrzeżeń na to, że im szerzej pojmie się badania literackie i im więcej zastosuje się rozmaitych interpretacji, tym większą korzyść przyniesie to nauce o literaturze.

Ta teoretyczna dyskusja, w której brała udział większość uczestników zjazdu, obracała się wokół naprawdę istotnych zagadnień i sprecyzowała wiele problemów. Pozwoliła też zrozumieć, jak dużo jest w tej dziedzinie do zrobienia i do odrobienia — i jak paląca była potrzeba instytucji, rozporządzającej odpowiednimi funduszami dla rozpoczęcia choćby części najpilniejszych prac.

Drugi dzień obrad poświęcono ustaleniu już konkretnego planu pracy i jej organizacji. Przyjmując zasadę, że Instytut Literacki nie może podejmować tylko prac o charakterze specjalnie naukowym, ustalono, że rozwój jego musi iść w trzech kierunkach i uwzględniać poza badaniami historyczno - literackimi także prace popularnooświatowe i wydawnictwa, związane z programami szkolnymi i uniwersyteckimi.

W dziale pierwszym zamierzono na okres najbliższy podjąć wykonanie kartoteki druków i bibliografii literackiej, wykazującej przede wszystkim czasopisma. Bardzo ciekawie zapowiada się projekt badań nad powieścią polską. Badania te, niezwykle trudne z powodu ogromu niewertowanego od lat materiału, postanowiono powiązać z pracami seminaryjnymi przy katedrach polonistycznych. Celem tego zbiorowego wysiłku ma być przede wszystkim opracowanie monografii powieści polskiej, a obok tego wznowienie wydania tych powieści, które, z różnych przyczyn zapomniane, stanowią cenny dorobek literatury polskiej. Drugim wydawnictwem, opartym na pracy zespołowej, ma być kilkutomowy zbiór materiałów do projektowanej na dalszą przyszłość historii literatury. Tom pierwszy, do którego mają wejść rozprawy historyczno - literackie, socjologiczne i teoretyczne, będzie stanowił próbę nowego oświetlenia twórczości literackiej drugiej połowy XIX wieku. Prócz tego projektowane są prace dotyczące poszczególnych autorów bądź dzieł i tłumaczenia typowych a ciekawych pod względem metodologicznym rozpraw i opracowań historyczno-literackich.

W ramach wydawnictw, związanych z programem szkolnym, przewidziano opracowanie zbiorowego podręcznika historii literatury i przygotowanie, na razie choćby kilku, wzorowych komentarzy do tekstów wymaganych przez program. Te zamierzenia uwzględniają też potrzeby świetlic i oświaty pozaszkolnej, gdyż będą próbowały choć w skromnej mierze zaradzić ogromnym a palącym potrzebom tych instytucji.

Trzeźwy i trafiający w sedno potrzeb społecznych realizm kierowników Instytutu wyraża się i w celowo pomyślanym planie dysponowania funduszami. Większa część przyznanych sum ma być rozdzielana w charakterze miesięcznych stypendiów pracownikom przygotowującym konkretne prace. W trudnych warunkach życia powojennego, kiedy nawet profesorowie uniwersytetów muszą „dorabiać" na utrzymanie — takie postawienie sprawy wydaje się jedynie realne i zapewniające Instytutowi możliwości rozwoju. Stworzenie grupy ludzi związanych ideologicznie i zabezpieczenie im podstaw bytu materialnego jest pierwszym warunkiem podjęcia zespołowej, pomyślanej na długi dystans pracy naukowej.

ek

·CZYTELNIK·
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
OSTATNIE NOWOŚCI

BIBLIOTEKA „MATHESIS POLSKIEJ"
JAMES JEANS
PODRÓŻ W CZASIE I W PRZESTRZENI
Tłum. B. Gawecki
str. 231
zł. 160

BIBLIOTEKA NAUKOWA MŁODEGO CZYTELNIKA
M. ILJIN
SZTUCZNE OKO
Tłum. Jarmolińska H.
str. 36
zł 70

BIBLIOTEKA TEKSTÓW USTAW
KODEKS PRACY
Wyd. 2 uzupełnione
str. 303
zł 420

WZOROWY ZAWODOWIEC
KOWAL
Oprac. Hummel B.
str. 96
zł 150

Z dziejów współczesnego czasopiśmiennictwa literackiego

TADEUSZ BREZA

Jubileusz trzynastki

Porządkując stare numery „Odrodzenia" natrafiam na numer trzynasty tego pisma, świeżo przeniesionego z Lublina; pierwszy numer krakowski. Na froncie fotografia Zofii Nałkowskiej, dwie inauguracyjne kolumny jej „Węzłów życia", dalej wiersze i artykuły Jastruna, Balickiego, Sandauera, Bieńkowskiego, Włodka, Miłosza, Kotta. Na ostatniej stronie symetrycznie ułożone dwie podobizny, dwu poetów: Przybosia i Putramenta.

Przyglądam się dacie, którą nosi na sobie numer: 25 luty 1945 r. Trzy lata temu. Jak obszył! Przerzucam następne dwa numery: czternasty, piętnasty. Pismo teraz zaczyna pojawiać się regularnie, co tydzień. A nie skokami jak za czasów lubelskich. W każdym numerze nowe nazwiska: Dygat, Wyka, Jerzy Zagórski, Sieradzki, Ożóg, Lau, Andrzejewski, Osmańczyk. Zaledwie rzucę okiem na którąś z tych prac, już przypominam sobie jej treść, tak jak człowiek przypomina sobie karty ze swoich pierwszych szkolnych podręczników. Z tą samą siłą, świeżością, żywością. Przypominam sobie utwory i różne związane z nimi okoliczności, a przede wszystkim autorów jawiących się po kolei, w dziwacznej postaci, powojennej, popowstaniowej, ukazujących się na bruku krakowskim mniej więcej w tej kolejności, w jakiej ich wyliczyłem przed chwilą. Kto z pisarzy lądował na terenie Krakowa ,biegł do znajomych, szukał kolegów. nie zastając ich w domu, z niecierpliwością dowiadywał się, gdzie znajduje się to Wielopole czy potem ta Basztowa, przy których mieściła się redakcja „Odrodzenia". Spieszył tam i trafiał na wszystkich. Natykał się na nieustający sejmik literacki. Biurka, stoły, stołki, okna pokryte były gęsto zadkami pisarzy. Gadaliśmy, dyskutowaliśmy, informowaliśmy się. Pokój zdobyty dla „Odrodzenia" napełniała wrzawa i kurzawa, kurzawa z potwornych, bo innych wtedy nie było, papierosów. Mówiliśmy wszyscy naraz, o sobie, o rękopisach, o stratach, o mieszkaniach, o meblach, o pieniądzach. Milczał tylko jeden: redaktor „Odrodzenia", milczał, bo pracował, skulony, i nastroszony jak mały, czarny, skalny niedźwiadek; ratował sprzed naszej zaborczości niewielki teren swego biurka i adiustował, czytał, wertował, poprawiał, przeglądał kolumny i korekty.

Pod wieczór atmosfera w pokoju redakcyjnym przerzedzała się, dym uchodził przez otwarte okna, ludzie przez drzwi, do których nareszcie można było się nie zrywać co minuta, a to aby komuś otworzyć, a to aby po kimś zamknąć. Redaktor podnosił głowę znad biurka. Zakończył przyjmowanie interesantów jako redaktor. Zaczynał ich teraz przyjmować jako komentator polityczny, doradca, przyjaciel, ideolog. Upływały godziny za godzinami, a redaktor urabiał i urabiał. Bo nie wszyscy, którzy zjawiali się w jednopokojowych progach redakcji, przystępowali od razu do pisma. Przychodzili nieraz tylko popatrzyć, popytać, pokręcić się, zasięgnąć języka. Dla większości z nas, tych z Generalgouvernement, mnóstwo rzeczy w nowej sytuacji było niejasnych, niezrozumiałych. To, co się ziściło, ziściło się w formie tak niespodzianej. Jedni z nas nie mogli wyjść z podziwu, inni otrząsnąć się i pozbyć podejrzliwości. Niejeden z nas miał taką minę jak człowiek, który oczekiwał na swoją świetną i elegancką kochankę, przez całe godziny z bukietem w ręku warując w hallu, a ona weszła zmieniona, prosta, w roboczym ubraniu, i do tego jeszcze drzwiami od kuchni. Co u licha!

Biegaliśmy po wiecach, zebraniach, słuchaliśmy rozmów po ulicach. To ten, to ów zasłyszał, że ktoś z jego bliskich przyjechał od strony Lublina Pędził wtedy na złamanie karku, żeby dowiedzieć się, żeby rozgryźć, żeby pojąć. Przemówienia wiecowe, jak zresztą wszystko na świecie, różne bywały. Trafiłem raz na jedno wyjątkowo agresywne, nienawistnicze. Przemawiało dwu przybyszów z Lublina do grona inżynierów i robotników. Stałem w drzwiach, bo nie byłem ani robotnikiem, ani inżynierem, nie wiedziałem czy zebranie nie jest zamknięte, nie wiedziałem, czy mogę wejść głębiej. Ujrzałem nagle robotnika, który aż się zwinął od jakiegoś silniejszego akcentu; tyle akurat był przygotowany do tej przemowy co ja, tyleż z niej rozumiał, wstał i ruszył precz z sali. A przechodząc koło mnie wybuchnął: — „Panie, to są haniebne ludzie!" — Wieczorem zaszedłem do „Hotelu Francuskiego", gdzie zamieszkiwały delegacje i grupy pełnomocnicze z rządu. Spytałem o pewnego znajomego. Mówił mi ktoś, że udało mu się przedostać z Poznania. Portier odpowiedział mi z nieukrywaną, chociaż dyskretną niechęcią: — „Nie, panie, u mnie jest tylko to, co przyjechało z Lublina!" — Nie jemu jednemu po latach spędzonych w ciasnej niecułce Generalgouvernement, bez powiewów ze świata, bez szerokich, przełomowych, istotnych informacji, po latach wytężonego oczekiwania, wpatrzenia w jeden punkt, z którego wyjść miało światło i wolność, zwęził się cały horyzont wolności do sztywnego punktu. Niektórzy próbowali przetrzeć oczy, przejrzeć, inni za to kurczyli się jeszcze silniej, upierali mocniej. Nie tylko ten jeden portier, o którym opowiadam, ani ten jeden robotnik, o którym wspomniałem, ale również i niejeden intelektualista, niejeden pisarz, często nawet niejeden z tych, którzy przed wojną należeli do tak zwanego obozu polskiej lewicy.

Brał się do nich Adam Ważyk, który postawiwszy na nogi teatry krakowskie mignął się tylko i skierował na Łódź. Brał się do nich Julian Przyboś, który postawił na nogi Związek Krakowski, ale też w pierwszej fazie tylko przeleciał; był prezesem i posłem, ruszył na Warszawę. Brał się do nich Jerzy Putrament, bujny i rozargumentowany, ale ten znacznie wolał operować naraz cały tłum niż poszczególne jednostki. Zostawał więc na polu jeno redaktor „Odrodzenia", niezmordowany trepanator czaszek, delikatny i budzący zaufanie lekarz, specjalista od wspomnianych powikłań. Dziwny rozmówca, który sam powiadał niewiele, antagonistę swego niezmordowanie wyciągając na słówka, na sądy, na niekończące się rozumowania, które z uśmiechem brał pod światło, ukazując w nich watę i dziury, i luki. Był to najpokorniejszy ze spowiedników, jakich udało mi się spotkać. Może na skutek tej cechy okazał się wtedy takim majstrem od nawróceń i obłaskawiań.

Trzynasty numer! Trzy lata! 25 luty! Przechodzę oczami nazwisko po nazwisku pierwszych współpracowników krakowskiego „Odrodzenia". Widzę ich, jak siedzą na tych oknach i na tych stołach w redakcji. Przeważnie są młodzi, należą do pokolenia ,które zaledwie zdążyło zadebiutować przed wojną, albo do późniejszego, do tego, które nie miało na to czasu. Niektórzy z nich byli wtedy nieco bardziej znani ogółowi, inni wcale. A dziś! Honory, splendory, nagrody! Książki, sztuki, wyjazdy za granicę. Delegacje, posłowania, teki ministerialne! Z tej drobnej grupki, chuderlawej, wymizerowanej i zziębniętej, skulonej na stołach i oknach, jak jaskółki na przydrożnych drutach, takie to powylatywały wspaniałe pawie i tacy orłowie! Łopocący skrzydłami z olbrzymim rozmachem, robiący koło siebie wiele szumu. Prócz tego jednego, naszego ówczesnego ideologicznego trenera, który wtedy niejednemu z nas otrzepał skrzydełka z kurzu i puścił w ruch. Tkwi on nadal przy swojej jednostajnej robocie. Adiustuje, koryguje, poprawia, prostuje. Uparty, zamiłowany redaktor, maniak swojej pracy.

W o wiele wyższym stopniu niżeli — na przykład — Wojciech Stpiczyński, który również nie mógł żyć bez pisma. Ale wpadał do niego trochę jak Ludwik XIV do pani Pompadour. Na godzinkę, na dwie, najchętniej nocą. O Grydzewskim mówiło się, że świata nie widzi poza „Wiadomościami Literackimi". Lecz on też należał do redaktorów, którzy do swego pisma nawykli. Postawiwszy je na nogi nie miał tej pasji — wzruszającej ludzi, którzy się jej przyglądają — tej pasji, by jednej literki nie puścić w piśmie w świat, z osobna się nią nie zająwszy. Ale w przypadku, o którym mówię, może dzieje się to dlatego, że pismo nie zrealizowało jeszcze ostatecznego etapu, o którym myślał jego twórca. Nie jest jeszcze tym, czym chce i musi być. Pismem, które by miało rozgłos „Wiadomości Literackich" a wagę gatunkową tych kilkudziesięciu najlepszych pozycji „Odrodzenia". Rozgłos po to, aby inteligencja polska — przeciętna, seryjna — przyjmowała treści „Odrodzenia" z tym samym pietyzmem co artykuły zareklamowane jej w swoim czasie przez Grydzewskiego. Wagę gatunkową najlepszych pozycji „Odrodzenia", tych, które wyrobiły temu pismu imię, na to, aby ta inteligencja pożywiała się pokarmem pełnowartościowym. Nie pianką.

Przed wojną, dzisiejszy redaktor „Odrodzenia", ówczesny „Sygnałów", pewnego ranka z rozpaczą w duszy pojawił się w Warszawie. Cenzura lwowska pozwoliła sobie w stosunku do niego na kawał istotnie niebywały. Konfiskując mu pismo raz za razem, burząc wszelkie kalkulacje finansowe i doprowadzając je przez to do anemii i arytmii, raptem — powoławszy się na wydobytą ze szpargałów przedpotopową, jeszcze austriacką ustawę prasową z roku 1866 — zawiesiła „Sygnały": „Ze względu na interes prenumeratorów, którym pismo nie jest dostarczane regularnie". — Redaktor „Sygnałów", bezradny wobec podobnej obłudy, przybył szukać sukursu prasy warszawskiej. Pracowałem wtedy w „Kurierze Porannym". Gazeta nasza zaatakowała z pasją lwowskie władze administracyjne. Po tym ataku do urzędującego wtedy redaktora „Kuriera", Wincentego Rzymowskiego, zadzwonił jeden z ówczesnych wiceministrów spraw wewnętrznych, wielki teatroman, intelektualista, zapamiętały wielbiciel literatury. Rzymowski sądził, że wiceminister pogniewa się o światopoglądowy aspekt sprawy. Nic podobnego! Ideologia ideologią, ale prócz niej jeszcze było coś, co usposabiało krytycznie ówczesnego wiceministra spraw wewnętrznych do „Sygnałów". — „Są za mądre!" — ubolewał. — „Organ literacki mija się ze swoim celem, jeżeli czytając go trzeba się namyślać!" Wiceminister nie miał racji! Ale wiceminister sformułował wówczas jedną z najbardziej podstawowych tęsknot przeciętnego polskiego inteligenta, który bierze do ręki literackie pismo!

Niezależnie od jego rodzimych tendencji polski inteligent wychowywał się przez całe lata na typie francuskich pism literackich, które w okresie między dwiema wojnami spadły właściwie do poziomu literackich rewolwerówek. Pism typu angielskiego, jak — na przykład — słynny literacki dodatek do „Timesa", nie czytywał. Ten dodatek, pozbawiony plotek, szpalt satyrycznych, kawałów i psich figlów, składał się wyłącznie z rozprawek informacyjnych i tegoż typu rubryczek, ścisłych, niepozbawionych lekkości, ale za to pozbawionych impresyjności, rozprawek stanowiących jak gdyby pierwsze opracowanie nowego tematu do przyszłej książki. Czytelnik znajdował w niej szkice na temat nowych książek, nowych kierunków i nowych zjawisk w sztuce. Zatem sam czysty materiał przeznaczony dla mózgu i dla pamięci, skrajnie różny od francuskiego. Typ przeznaczony dla zawodowców, w kraju, gdzie literaturą zajmują się ściśle określeni odbiorcy, a nie wszyscy naraz po łebkach i po trochu.

Wypracowanie w dzisiejszych zmienionych warunkach nowego, polskiego typu przedstawia niemałą trudność. Trudno polskiemu czytelnikowi zerwać z pewnymi nałogami, trudno znów nowemu polskiemu redaktorowi, który przez ostatnie lata pomiędzy dwiema wojnami pienił się na piankę „Wiadomości Literackich", wracać do ich maniery. Trzeba zdaje się i Bogu postawić świeczkę i diabłu ogarek, powoli oddalając się od typu zanadto piankowego, nie za szybko zdążając do typu pełnotreściowego. Powoli, po kroczku, zanim rzecz dojrzeje do tego, by cytowane zdanie owego wiceministra stało się tylko echem pewnej przewalczonej przeszłości. Na razie zaś — jak się zdaje — myśl powinna na łamach „Odrodzenia" w zgodzie współżyć z rozrywką. I patronować wspólnymi siłami temu najbardziej zasłużonemu z polskich pism literackich, płodząc numer za numerem, na przekór i tym, którzy chcą mieć w piśmie piankę i tym, którzy tylko chcą mieć w piśmie lity, intelektualny żelazobeton. No i w dalszym ciągu na przekór tej trzynastce, od której rozpoczęło swój żywot krakowskie „Odrodzenie", wcale nie takiej feralnej.

Tadeusz Breza

ANDRZEJ KRUCZKOWSKI

W pierwszej fazie „Sygnałów"

Powstanie zespołu „Sygnałów" było naturalnym produktem atmosfery, jaka panowała w latach trzydziestych na lwowskim uniwersytecie. Życie studenckie, całkowicie opanowane przez młodzież endecką, wyrzucało poza nawias nie solidaryzujące się z jego nurtem jednostki. Wśród tych jednostek, niepogodzonych z atmosferą pałkarską endeckich przywódców, a obcych duchowo — mimo żywej wśród niektórych sympatii do Piłsudskiego — sanacyjnym urzędówkom młodzieżowym — nie było indywidualności dość silnej i dostatecznie intelektualnie uzbrojonej, która by zwycięsko przeprowadziła kampanię przeciw zalewowi czarnoseciństwa. Lwów nie miał swego Dembińskiego.

Zbyt słabi, żeby się przeciwstawić skutecznie otoczeniu każdy z oddzielna, w swoim bezpośrednim kręgu, nie uczestnicząc zupełnie w oficjalnym życiu studenckim, w masowych organizacjach — ludzie odnajdywali się po omacku, garnęli instynktownie do siebie; wzmacniając więzy wspólnymi zainteresowaniami społecznymi lub literackimi.

W latach trzydziestych życie kulturalne Lwowa skupiało się niemal wyłącznie wokół teatru i uniwersytetu.

Karol Kuryluk *rys. I. Witz*

W miesiącu lutym minęło piętnaście lat działalności redaktorskiej i organizacyjnej na polu literatury twórcy dwóch czołowych pism literackich w Polsce: „Sygnałów" i „Odrodzenia", Karola Kuryluka. Te rocznicy poświęcamy artykuły Tadeusza Brezy i Andrzeja Kruczkowskiego.

Na romanistyce wykładał jeszcze od czasu do czasu znakomity Edward Porębowicz, bardzo już zmęczony życiem i pracą. Mimo że musiał używać podwójnych okularów, że nie miał już dość siły, aby bez pomocy przejść przez jezdnię, pisał jeszcze zbiorek frywolnych wierszyków, które ukazały się w r. 1935 jako druk prywatny w nakładzie 100 egzemplarzy. Ślepego już prawie i niedołężnego tłumacza Dantego brały jeszcze ciągotki i trzymały się facecje, po polsku, francusku i hiszpańsku spisywane. Leon Chwistek, kiedy nie udało mu się oczarować młodych studentek logiką matematyczną, którą wykładał, czarował je wielce oryginalnymi poglądami na malarstwo. Jego wykłady o mistrzach pędzla, ilustrowane przeźroczami, nie nadawały się nawet do stenografowania. Jeden tylko człowiek w Polsce mógłby je odtworzyć: Leon Wyrwicz. Kończył żywot wielki Oswald Balzer, do końca świetny w wykładzie, rozumny, a zapamiętały w pracy. Wokół Ganszyńca grupowali się filologowie klasyczni, Ingarden skupiał adeptów filozofii, Kleiner, Kucharski i Łempicki — polonistów. W parku jezuickim, przed uniwersytetem, często można było spotkać Leona Pinińskiego, jak z aparatem fotograficznym w ręku czatował na rodzajową scenkę lub przechodzącego żebraka. Ongiś namiestnik Galicji, znawca Shakespeara, kolekcjoner obrazów, podarowanych potem Muzeum Narodowemu, profesor prawa rzymskiego — mimo swoich 70 lat nie tracił kontaktu z życiem. Rzadko kogo los i natura tak bogato obdarza jak tego człowieka. Po śmierci żony zbudował na cmentarzu łyczakowskim grobowiec, na którym widniała i jego płaskorzeźba. Data urodzenia, tytuł hrabiowski, nazwisko — rzeźbiarz pozostawił tylko wolne miejsce na wpisanie daty zgonu.

W tymże parku jezuickim można też było zobaczyć sędziwego, osiemdziesięcioletniego bodaj już wtedy Wysłoucha. Kierował małą, przestarzałą drukarenką przy ulicy Krasickich i przez park jezuicki prowadziła jego droga do domu.

Po krótkim pobycie w drukarni na Zielonej redakcja i administracja „Sygnałów" przeniosły się właśnie do Wysłoucha — drukarni nie z tego świata, jak z tego świata było życie praca i walka sędziwego senatora.

Życie literackie miasta, ongiś tak bujne, właściwie nie istniało. Jego symbolem były dwie postaci, dwu wielkich dziwaków, wypaczonych i pożartych przez środowisko: znakomity poeta Stanisław Maykowski i wyborny krytyk Ostap Ortwin. Obaj długowieczni, obaj niezwykle żywotni, nigdy nie wydali ani jednego tomu. Trudniej było w owe czasy wydobyć od Ortwina artykuł czy od Maykowskiego wiersz, niż dziś utrzymać się z pensji urzędnika warszawskiego magistratu.

Fantazja i żywotność, pierwociny poezji, prozy i krytyki, tęsknoty za światem innym niż ten, który się miało przed oczyma — leżały u kolebki „Sygnałów". Ale to że ich żywot nie zgasł po paru miesiącach — jak tylu innych pism literackich, zrodzonych jedynie z entuzjazmu — że rozwijały się i wrastały w społeczeństwo już nie tylko Lwowa ale całego kraju, że walcząc — jakże początkowo skromnie, jak ostro, ale prowincjonalnie! — nie potknęły się przy pierwszych objawach niezadowolenia władz; że fantazja poetów i prozaików, niedoświadczenie i namiętność młodych publicystów mogły przeciwstawić się w druku ówczesnej kulturalnej i społecznej rzeczywistości polskiej — za to niejeden z pisarzy winien szczere uznanie Karolowi Kurylukowi.

Nie było pieniędzy, nie było organizacji — tym wszystkim, co zadecydowało o przyszłości pisma, był nieefektowny i mrukliwy, słaby dyskutant i żaden mówca — Karol Kuryluk.

Nie był on wtedy marksistą — jak nie był nim zresztą nikt z dziesięciu członków zespołu. Broń, jaką daje do ręki marksizm człowiekowi, który potrafi i chce z niej korzystać, użyta celowo i rozumnie, tłumaczy powodzenie niejednej imprezy wydawniczej, mimo niesprzyjających warunków. Jeśli Kuryluk przebrnął szczęśliwie przez tysiączne trudności, jeśli utrzymał pismo przez lat sześć, aż do samej wojny, przypisać to należy jego charakterowi, osobistej ofiarności i wytrwałości w pracy.

On jeden od początku poświęcił się bez reszty pracy redaktora, korektora, kolportera i akwizytora zarazem. Po pierwszych numerach, w których „zhańbił się" kilkoma krytykami, brał pióro do ręki tylko po to, aby przepisać nazwisko adresata z kartoteki prenumeratorów na naklejkę adresową, lub przeprowadzić korektę tekstu. Nie zainteresowany w drukowaniu własnych rzeczy, wyrzekł się dobrowolnie emocji, jakie 20-letnim chłopcom daje ujrzenie własnego nazwiska w druku, zapominając o ambicjach pisarskich, nim jeszcze zdążył w nich zasmakować. Zyskiwał w ten sposób prawo ludzi bezstronnych do osądzania innych. Stał się po prostu — redaktorem.

Trudno sobie wyobrazić „Sygnały" — oparte na bezinteresownej pracy całego zespołu, którego członkowie obarczeni byli poza tym troską o fundusze na papier i drukarnię — bez Kuryluka. Mimo że pierwszy komitet redakcyjny składał się aż z dziesięciu młodych poetów, publicystów i prozaików — a może właśnie dlatego — „Sygnały" nie miałyby szans utrzymania się i rozwoju, gdyby ktoś jeden nie zechciał wziąć na siebie całej odpowiedzialności, całej pracy i całej troski o finanse. Finanse na druk i papier. Bo jak się rzekło — o honorariach nawet nikt nie myślał. I nikt z członków zespołu nie rozporządzał dochodami które by przekraczały sumę 150 zł miesięcznie — nie mogło więc być mowy o „samofinansowaniu" — najłatwiejszej i najbardziej demoralizującej metodzie.

Pismo miało już poprzednika, którym był miesięcznik ogłoszeniowy „Wczoraj — Dziś — Jutro". Wydawca tego pisma zainteresowany wyłącznie w dochodzie z ogłoszeń, udzielał gościny początkującym pisarzom lwowskim — do czasu, aż władze zwróciły mu uwagę, że ta gościnność może się źle odbić na wysokości jego dochodów. Wtedy nastąpiło rozstanie. I wtedy cały trud, całą czarną robotę przejął na siebie Kuryluk.

Byliśmy jak pijane dzieci we mgle. Mimo dość znacznego radykalizmu społecznego i literackiej światoburczości, zimnym rozeznaniem praw rządzących sprawami tego świata nikt z zespołu nie grzeszył.

Halina Górska, trzydziestoletnia wówczas — najstarsza z całego zespołu, jego natchnienie miłość, nadzieja i wiara, była w praktycznym życiu nieporadnym dzieckiem. Tadeusz Hollender, uczący się wtedy życia na cynizmie Balzaka, rozmiłowany w „Straconych złudzeniach", w intrygach wielkiego Paryża kokot i literatów, bankierów i malarzy, był i pozostał do końca życia tym, czym byłby nie napisawszy ani jednego wiersza: poetą.

Dlaczego Kuryluk nie pisze? Czy Karol drukował kiedyś? Jakie to były rzeczy?

Ileż razy słyszało się i słyszy te pytania? Dyktuje je przeważnie zwykła ludzka ciekawość.

Od początku swej pracy w zespole „Sygnałów" Kuryluk wziął na siebie całą czarną robotę. Redagowanie niewielkiego objętościowo miesięcznika mało daje czysto redaktorskiej satysfakcji. Ile jednak kartek z adresami trzeba było wypisać i nakleić, ile korekt przeprowadzić, ile nabiegać się za pieniędzmi, ile włożyć wysiłku, żeby zrozumieć sens i treść tajemniczego słowa: ekspedycja.

W pierwszym numerze pisma, w zespołowym „credo" dość archaiczne znaleźć można było sformułowania: „Razem — nie stanowimy ani lewicy, ani prawicy; nie reprezentujemy też „złotego środka" społecznie czy literacko. Chcemy być po prostu ludźmi — i to nam wystarcza".

Z miesiąca na miesiąc, z roku na rok, wystarczało coraz mniej. Już w drugim numerze, w niepodpisanym artykule wstępnym pisał Tadeusz Hollender: „Rozpętane chamstwo nacjonalizmu uważa nas za maruderów. Szczyćmy się tą ariergardą. Kiedy sfanatyzowane tłumy znajdą się nad przepaścią — wpadną w nią kroczący na czele krzykacze. Ale tłumy będą musiały zrobić zwrot wstecz. I wtedy siłą rzeczy będziemy znowu na czele".

Istotnie, najlepsi z zespołu, najwartościowsi, znaleźli się na czele w walce z hitleryzmem. Mieli też pierwszeństwo w umieraniu. Zginęła z rąk hitlerowskich Halina Górska, zginął rozstrzelany na terenie warszawskiego ghetta Tadeusz Hollender, zginął w Oświęcimiu — w oczach innego członka zespołu, B. W. Lewickiego — Stanisław Rogowski.

W sennej atmosferze kulturalnej ówczesnego Lwowa pierwsze numery „Sygnałów" musiały zrobić sporo hałasu. Burza, którą początkowo wywołały, nie sięgała jednak daleko. Poza rogatkami miasta cicho o niej było. Ale czego nie osiągnęła buńczuczna, aczkolwiek chaotyczna publicystyka literacka i społeczna — osiągnął trud redaktora.

Władze patrzyły początkowo pobłażliwie na pismo i jego wypowiedzi, nie miały bowiem wątpliwości, że impreza wydawnicza prowadzona przez literatów musi skończyć cicho, szybko i samoczynnie. Mijały jednak miesiące i lata, a pismo wychodziło. Bez przerwy, regularnie, w dobrej szacie graficznej, coraz czytelniejsze — systematyczne i uparte jak człowiek, który je prowadził. Zaczął się „Sygnałami" interesować i kraj: ukraiński numer, obrazujący bogaty dorobek kulturalny Ukraińców, ich poezję i malarstwo, naukę i artystyczną prozę, wzbudził więcej niepokoju niż poprzednie „rewolucyjne" wypowiedzi. Potem przyszedł numer żydowski „tłumaczenia z żargonu", obrazujący twórczość najpoważniejszej po Ukraińcach mniejszości narodowej.

Sprawa była poważna.

Poważny był człowiek który się podjął jej prowadzenia.

Burzliwy rok 1936, rok śmierci Stanisława Kozaka, salw policyjnych w tłum, karabinów maszynowych, umieszczonych na dachach domów, wzdłuż trasy pogrzebu Kozaka, rok masowych wieców w sprawie hiszpańskiej, wielkiej akcji amnestyjnej i zjazdu działaczy kulturalnych — był przełomowy i dla „Sygnałów".

Po roku 1936 pewien wybitny matematyk, liberał, ale człowiek daleki od rewolucjonizmu, powiedział o „Sygnałach": „Dotychczas trzeba było to popierać, ale nie czytać, teraz przestaniemy popierać, a zaczniemy czytać".

I tak istotnie było. Zaczęto w całej Polsce czytać „Sygnały".

Andrzej Kruczkowski

Czy jesteś już członkiem Klubu Literackiego „ODRODZENIA"?

LARYSSA ZAJĄCZKOWSKA

Muzułmańska babuleńka i słowiańscy bracia chińscy

Muzułmańskie babuleńki uczą się pisać

To nie ruch wydawniczy, to lawina książek. Jak iskry sypią się książki po całym kraju z trzech największych ognisk. Z Lublany, gdzie się je bierze do ręki jak klejnot, podziwia jak dzieło sztuki, kocha i rozumie jak bliskiego przyjaciela Z Zagrzebia w którym tradycyjnie żywo pulsująca ciekawość zdarzeń i ludzi przywłaszcza kulturze jugosłowiańskiej arcydzieła światowej literatury. Obok Szekspira i Moliera, Tołstoja i Balzaka — w pięknej, płóciennej oprawie, ze skórzanym, złoconym grzbietem — Mickiewicz, Żeromski — Nałkowska, Brandys, Szmaglewska. Wydania powojenne. Rok 1947 Tłumaczenia nowe i wznowienia. W ciągu dwu ostatnich lat 18 pozycji polskich na liście przekładów dzieł pisarzy obcych — 18 znaków zapytania i tyleż wykrzykników pod adresem wszystkich naszych spółdzielni i firm wydawniczych. Literaturę jugosłowiańską otacza w Polsce bezwstydne, niczym nieusprawiedliwione milczenie.

Trzecie centrum wydawnicze Jugosławii — to Belgrad, który przejął prawie cały ciężar ładunku myśli politycznej, ideologicznych rozważań i gospodarczych zagadnień.

✦

Myśl polityczna tchnie szerokim i świeżym oddechem. Stopiły się w płomieniu walki wszystkie ciasne separatyzmy i szowinizmy. Mimo zainteresowania i rodzinnego sentymentu dla spraw słowiańskich, uczciwie i rozsądnie myślący Węgier z pewnością bliższy będzie jugosłowiańskiemu sercu niż rozbijający się po belgradzkich knajpach i sklepach Polak, który z nonszalancją i poczuciem wyższości spogląda na niezbyt jeszcze wytworny przyodziewek miejscowego chłopka czy robotnika. Bo i takich naszych rodaków widywano już w gościnnej Jugosławii, co na pewno nie przyczyni się do zacieśnienia więzów braterskiej przyjaźni.

Jak wyglądają te sprawy Słowian, określił dowcipnie jeden z najwybitniejszych ludzi Jugosławii na zjeździe dziennikarzy w Zagrzebiu, gdy ktoś usiłował obliczyć, ilu jest Słowian na świecie.

— Hm, dużo, dużo... A niedługo będzie o wiele więcej. Mówią, że republikańskie wojska chińskie zbliżają się już do Nankinu...

Wobec takiego postawienia sprawy nie dziwił nikogo fakt, że Węgrzy Rumuni i Albańczycy, zaproszeni jako goście na zjazd dziennikarzy krajów słowiańskich, czuli się jak u siebie w domu i uzyskali tytuł „honorowych Słowian".

✦

Utarło się przekonanie, że Słowianie nie mają zmysłu organizacyjnego. Zarzut ten wysuwali przeciwko nam różni germanofile. Otóż nieprawda. Na zjeździe dziennikarzy Jugosłowianie pokazali, co potrafią. Być może równie sprężyście — a może nawet lepiej jeśli idzie o propagandę, zrobiliby to Czesi. Za to my, Polacy, przy niezrównanym bałaganie organizacyjnym zakarmilibyśmy naszych miłych gości aż do umysłowego otępienia i fizycznego bezwładu. W Zagrzebiu tymczasem — wszystkiego było w miarę — ponad zwykłą zaś miarę obdarzano nas szczerą, serdeczną gościnnością, zaprawioną zdrowym, pogodnym humorem.

✦

— Do you speak english?

Kolega nasz przecząco kiwą głową.

— Parlez-vous français?

— Nie.

— A po ruski? Vielleicht sprechen Sie deutsch?

— Nie — odpowiada kolega i śmieje się z zażenowaniem.

— To niedobrze, dziennikarz — i nie zna żadnego obcego języka... — mruczy z wyraźnym zgorszeniem nasz rozmówca. Kto to jest?

Otacza nas grupa chłopów chorwackich. Trącają się łokciami i mrugają do siebie porozumiewawczo. Najwyraźniej kpią z naszego kolegi. Usiłujemy bronić dobrej sławy dziennikarstwa — rzucamy kilka zdań w obcych językach. Odpowiadają nam inni chłopi — ot, taki na poczekaniu zorganizowany konkurs językoznawstwa. Zgromadzeni wybuchają śmiechem. Jak łatwo, szczerze i serdecznie śmieje się ten chłop w podartych spodniach i dziurawej kurtce, o rysach twardych i mocnych, które mają w sobie niewzruszony spokój otaczających wioskę gór.

— A no, bywało się za granicą... — lekceważąco i jakby od niechcenia rzuca jeden z chłopów. — Nie było dość chleba dla nas w kraju. Ale niedobrze tam. Nie ma na świecie takiej ziemi jak nasza. Dziś już nikt nie potrzebuje szukać u obcych roboty...

Znadujemy się we wsi Kumrovec, na pograniczu Chorwacji i Słowenii, dwóch republik Jugosłowiańskiej Federacji. 60 zagród rozsiadło się wzdłuż niewielkiej, bystrej rzeki, wśród łagodnych wzgórz, okolonych łańcuchem gór. Skąpość piaszczystej gleby wynagradza tu słońce — wśród szarych kartoflisk widać szczeciniaste ścierniska kukurydzy i niezliczone poletka winnej latorośli, pnące się po górskich zboczach na spotkanie nisko schodzącym, liściastym lasom.

W tej ubogiej chorwackiej wsi, liczącej niewiele ponad dwustu mieszkańców, urodził się Józef Broz - Tito. Milczącą pamiątką jest domek o małych oknach i niziutkich izbach, z datą budowy nad framugą drzwi: „1860" i marmurową tablicą w sieni. Żywą pamiątką jego młodości — są ludzie. Płyną proste słowa wspomnień lat dziecinnych, spędzonych z nim wspólnie na jednej ławie w czteroklasowej miejscowej szkole, która stoi po dziś dzień.

W tym, co mówią, nie ma chęci popisywania się wobec zagranicznych dziennikarzy. Musimy się nawet trochę pomęczyć, ażeby wydobyć wszystkie znane im szczegóły.

Najbardziej uderza nas uwaga, którą słyszymy na zakończenie tego przedziwnego zbiorowego wywiadu.

— Mówiła mu siostra, kiedy go internowali tu u nas za robotę związkową w 34-tym roku: „Rzuć politykę". A on — nie rzucił. I miał rację. Bo gdyby tak wszyscy politycy, co chcą dobrze dla narodu, robotę rzucili, to byśmy przecież jeszcze dziś na czworakach chodzili...

✦

Jugosłowianin — to dziwny charakter. Gdyby go wziąć do laboratorium chemicznego i poddać analizie — znaleźlibyśmy w nim przeróżne cechy, którymi zwykło się określać właściwości różnych narodów. Jest zdyscyplinowany jak Anglik, sentymentalny jak Rosjanin, romantycznie waleczny jak Polak, uczciwy jak Szwed, pracowity jak Niemiec, wesoły jak Francuz. Jedną ma tylko wadę — gdy na ulicy kogo potrąci, nie przeprosi. Ale za to, kiedy zapytasz go o drogę, zaprowadzi cię do samego celu.

Zapomniałam jeszcze o jednym: Jugosłowianin jest muzykalny jak Włoch.

Muzyka jest towarzyszką jego życia. W miniaturowej, barokowej Lublanie śpiewają co pół godziny wszystkie zegary niezliczonych kościelnych wież. W Sarajewie, mieście tysiąca meczetów, rozbrzmiewa melodia dwu ludzkich uczuć — o jednym z nich śpiewają muezzini w godzinach powszechnej modlitwy — o drugim usłyszysz w wieczornej ciszy krętych uliczek, w niespokojnie drgających tonach miłosnej pieśni.

Najjaśniejszy dzień i najjaśniejsza pieśń należą jednak do młodych. Idą w ten dzień niełatwego, lecz bogatego życia z piosenką i tańcem przez wszystkie ulice miast i wszystkie wiejskie drogi. A jeżeli w jakimś miejscu droga się kończy i zaczyna pustkowie — tym lepiej. Jest nowa robota. I młodzież — „Titowa Omladina" — zabiera się do pracy.

Do fabryki też przywędrowała muzyka. Młoda robotnica powtarza słowa piosenki, płynącej z radiowych głośników rozmieszczonych w fabrycznych halach, i rytmicznym ruchem nawija przewody w akumulatorze.

— Lepiej się pracuje?

— Oczywiście! Ona pracuje razem z nami... — wymowny ruch głową ponad schylonymi plecami robotnic w przestrzeń, pełną wesołego rytmu roztańczonej melodii.

Po pracy — jest świetlica, gdzie można śpiewać, śmiać się i tańczyć. Po pracy — można też iść na dansing. Gwarno i tłoczno. Obok ludzi ubranych z miejska — z wdziękiem i swobodą tańczą walca angielskiego czy fox-trotta pary w malowniczych serbskich i chorwackich strojach ludowych. Maskarada? Bynajmniej. — Przyjechał po prostu Mile Jovanovicz z żoną, albo swoją dziewczyną do miasta, sprzedał ser, kupił garnek czy łopatę, poszedł do kina, a teraz się bawi. I to jak. Z całego, wesołego serca. Bo Jugosłowianin nie zna połowicznych uczuć.

Radość życia przenika i do twórczości muzycznej. Ludowa jugosłowiańska opera komiczna mimo odrębności folkloru ma melodyjność i wdzięk wiedeńskiej operetki. Na 103-cim przedstawieniu opery Gotovca „Bohater z zaświatów" w Zagrzebiu, sala jest nabita po brzegi i huczy od śmiechów i oklasków. Bohater z zaświatów wprowadza w błąd całą wieś, przynosząc płochym wdowom pozdrowienia od zmarłych mężów, aby okazać się w końcu dzielnym chłopcem z sąsiedniej wioski, który chciał wypróbować uczucie swojej ukochanej. Na widowni — tak samo jak wszędzie — obok elegancko ubranych ludzi („prywatna" inicjatywa?) młodzież w szkolnych bluzach, robotnicy, ludzie ze wsi. Czy każdy może sobie pozwolić na taką rozrywkę? Sądzę, że tak — najtańszy bilet kosztuje 7 dinarów. Robotnik zarabia od 150 do 200 dinarów dziennie.

✦

Od czego się to zaczęło?

Odpowiedź na to znajdujemy na każdym kroku. Można pójść do zawsze przepełnionego Muzeum Walki Wyzwoleńczej, mieszczącego się w obrębie murów starej twierdzy tureckiej Kalimegdan w Belgradzie i tam z bogatego materiału fotograficznego i dokumentarnego czytać historię ostatnich lat.

Można przemierzać kilometrami skaliste wnętrze Bośni i Hercegowiny, lub do wielkiej, pachnącej, cichej łąki podobną Słowenię, gdzie bolesne ślady wojny cierpliwie zaciera niezmordowana, dobra ludzka ręka.

Można też wejść do sklepu z książkami: humorystycznego pisma „Kerempuh" w Zagrzebiu i porozmawiać z młodym sprzedawcą, wesołym czarnookim chłopcem, na którego piersi widnieją odznaczenia bojowe. Byłaby to droga najbardziej prosta.

Ciekawe jednak, w jaki sposób wszystkie te przeżycia przeniknęły do zjawisk życia kulturalnego? Czy znalazły obecnie swój artystyczny wyraz?

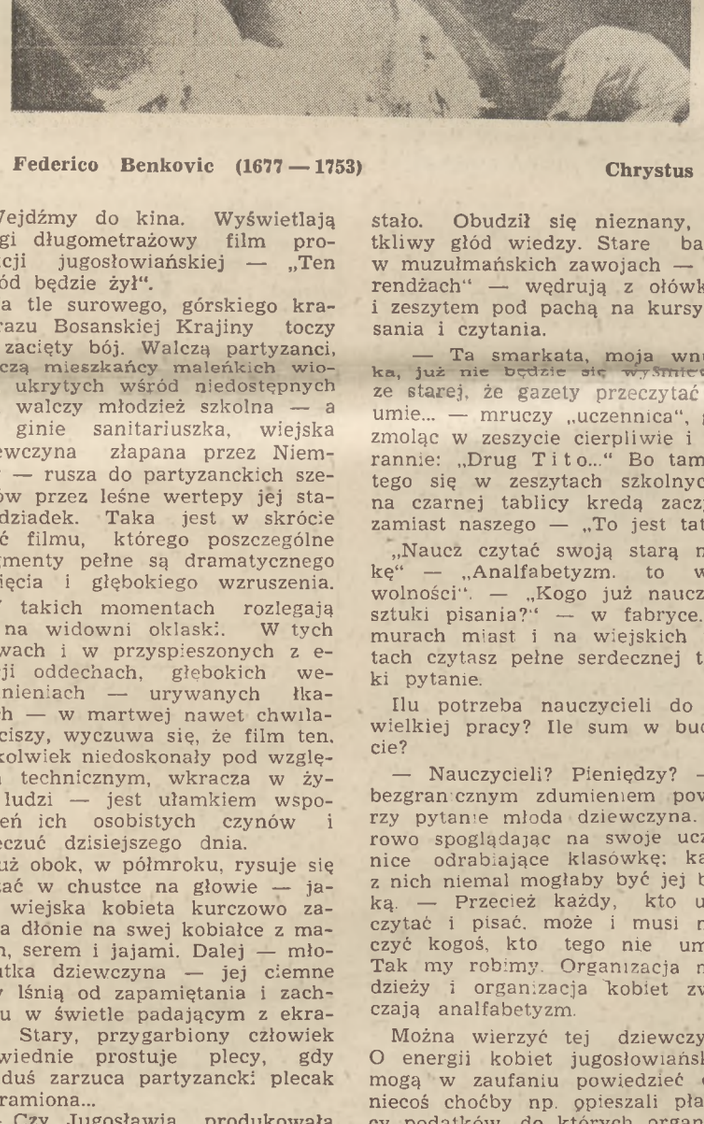

Federico Benkovic (1677 — 1753) **Chrystus**

Scena z pierwszego filmu jugosłowiańskiego „Slavica"

Wejdźmy do kina. Wyświetlają drugi długometrażowy film produkcji jugosłowiańskiej — „Ten naród będzie żył".

Na tle surowego, górskiego krajobrazu Bosanskiej Krajiny toczy się zacięty bój. Walczą partyzanci, walczą mieszkańcy maleńkich wiosek, ukrytych wśród niedostępnych gór, walczy młodzież szkolna — a gdy ginie sanitariuszka, wiejska dziewczyna złapana przez Niemców — rusza do partyzanckich szeregów przez leśne wertepy jej stary dziadek. Taka jest w skrócie treść filmu, którego poszczególne fragmenty pełne są dramatycznego napięcia i głębokiego wzruszenia.

W takich momentach rozlegają się na widowni oklaski. W tych brawach i w przyspieszonych z emocji oddechach, głębokich westchnieniach — urywanych łkaniach — w martwej nawet chwilami ciszy, wyczuwa się, że film ten, jakkolwiek niedoskonały pod względem technicznym, wkracza w życie ludzi — jest ułamkiem wspomnień ich osobistych czynów i przeczuć dzisiejszego dnia.

Tuż obok, w półmroku, rysuje się postać w chustce na głowie — jakaś wiejska kobieta kurczowo zaciska dłonie na swej kobiałce z masłem, serem i jajami. Dalej — młodziutka dziewczyna — jej ciemne oczy lśnią od zapamiętania i zachwytu w świetle padającym z ekranu. Stary, przygarbiony człowiek bezwiednie prostuje plecy, gdy dziaduś zarzuca partyzancki plecak na ramiona...

— Czy Jugosławia produkowała przed wojną filmy?

— Nie — odpowiada kolega - dziennikarz z Belgradu. — Nasze dwa filmy długometrażowe, to są w ogóle pierwsze filmy jugosłowiańskie. Rozpętały one burzę dyskusji. Zwłaszcza pierwszy — „Slavica". Oczywiście najwięcej błędów wykazywał scenariusz — naiwności, niekonsekwencje...

Ze zrozumieniem kiwamy głową. Jasne, jasne... Ale czy potrafiliśmy w Polsce załatwić sprawę zdrowej krytyki naszych filmów równie rozsądnie, jak to zrobili Jugosłowianie?

— Urządzamy konferencje — mówi nasz jugosłowiański kolega — w których biorą udział krytycy i realizatorzy filmu. Przecież zdajemy sobie sprawę, że to pierwsze nasze kroki i wszyscy muszą pomóc dobrą radą, aby przy następnych pracach unikać poprzednich błędów.

Jugosławia ma cztery wytwórnie filmowe: „Zvezda" i „Avala" w Belgradzie, „Jadran" w Zagrzebiu i „Triglav" w Lublanie. Prócz dwu wspomnianych już filmów długometrażowych wyprodukowano sporo średnio i krótkometrażowych. Czujny obiektyw chwyta i utrwala życie w jego wszystkich bogatych przejawach. Radości i troski górnika, dzień Belgradu, osiągnięcia kolejarzy, trud i zabawa młodzieży, piękno starych miast, dzieje malarstwa jugosłowiańskiego na przestrzeni ostatnich wieków — oto pobieżny przegląd zdrowej zachłanności jugosłowiańskich filmowców.

Każdy zakątek tego kraju, gdzie krzyżuje się słony wiatr morski z wonią górskiej sosny, a cierpki i musujący aromat lekkiego wina z ciężkim i odurzającym zapachem róż i tytoniowych kwiatów — sprawia wrażenie, że wszyscy jego mieszkańcy pewnego dnia wyprostowali plecy i spostrzegli, że własny świat, który ich otacza, pełen jest nieznanych skarbów, nieodkrytych dotychczas możliwości — że wystarczy tylko wyciągnąć chętną dłoń, aby pełna była szczęścia.

Nie tracą czasu. Nawet ci, którym niewiele może już czasu pozostało. Obudził się nieznany, dotkliwy głód wiedzy. Stare babcie w muzułmańskich zawojach — „ferendżach" — wędrują z ołówkiem i zeszytem pod pachą na kursy pisania i czytania.

— Ta smarkata, moja wnuczka, już nie będzie się wyśmiewała ze starej, że gazety przeczytać nie umie... — mruczy „uczennica", gryzmoląc w zeszycie cierpliwie i starannie: „Drug T i t o..." Bo tam od tego się w zeszytach szkolnych i na czarnej tablicy kredą zaczyna, zamiast naszego — „To jest tato..."

„Naucz czytać swoją starą matkę" — „Analfabetyzm, to wróg wolności". — „Kogo już nauczyłeś sztuki pisania?" — w fabryce, na murach miast i na wiejskich płotach czytasz pełne serdecznej troski pytanie.

Ilu potrzeba nauczycieli do tak wielkiej pracy? Ile sum w budżecie?

— Nauczycieli? Pieniędzy? — z bezgranicznym zdumieniem powtórzy pytanie młoda dziewczyna, surowo spoglądając na swoje uczennice odrabiające klasówkę; każda z nich niemal mogłaby być jej babką. — Przecież każdy, kto umie czytać i pisać, może i musi nauczyć kogoś, kto tego nie umie... Tak my robimy. Organizacja młodzieży i organizacja kobiet zwalczają analfabetyzm.

Można wierzyć tej dziewczynie. O energii kobiet jugosłowiańskich mogą w zaufaniu powiedzieć coś niecoś choćby np. opieszali płatnicy podatków, do których organizacja zwana „Antifaszysticzki Front Żene" wysłała swego czasu delegacje, obdarzone niezwykłym darem wymowy. Było to chyba rok czy dwa lata temu. Podobno dziś już nikt nie zalega z podatkami.

Zagadnienie analfabetyzmu nie obejmuje całej Jugosławii. W małej Słowenii, gdzie każda wioska wygląda jak ustawiona doświadczoną ręką artysty teatralna dekoracja — nie ma ludzi niepiśmiennych. Tu przed wojną, w obszernych, czystych, murowanych domkach, każdy chłop miał szafę pełną książek.

— Zabrali, spalili... — z żalem wzdycha pykając fajkę stary wieśniak, siedzący na stosie różowych cegieł.

— I stodołę spalili? I dom? I stajnie?

— Co tam stodoła... Odbuduję — kładzie sękatą rękę na cegłach. — Ale kiedy będę miał znów tyle książek? I Mickiewicza miałem, i Sienkiewicza, jeszcze po ojcu.. Żeromski wasz, też dobry pisarz. Wiedzieli Niemcy, jak nam krzywdę zrobić...

✦

Młody partyzant, który w lesie dopiero nauczył się czytać, stary robociarz w odświętnym ubraniu, uczennica i wiejska kobiecina z zapartym tchem słuchają Czajkowskiego, Mussorgskiego, Ravela. Ponad tysiąc osób pomieściła wielka hala wystawowa Zagrzebia na koncercie symfonicznym chorwackiej orkiestry radiowej. Młody dyrygent, Milan Horwat, wyczarowywał więcej aniżeli zgodne brzmienie instrumentów — może to zresztą i nie jego tylko zasługa, że nawet oczy ostatniego skrzypka i oczy smutnego flecisty świeciły gorączką natchnienia. W ich muzyce była potęga żarliwej wiary w piękno.

✦

Takim samym spojrzeniem ogarnia nas profesor Ljubo Babicz, dyrektor Strossmajerowskiej Galerii Sztuki w Zagrzebiu. W kilku skromnych salach ze znawstwem i dobrym smakiem zgrupowano dzieła malarzy jugosłowiańskich, włoskich, francuskich, flamandzkich i holenderskich, od okresu wczesnego renesansu do końca XIX wieku.

— Spójrzcie proszę — ręka profesora dotyka niemal płótna obrazu, jak gdyby chciała troskliwie poprawić źle ułożone fałdy szaty Madonny — spójrzcie, jak artysta od sztywnego wyrażania postaci ludzkiej jako symbolu, coraz bardziej w ciągu wieków zbliża się do człowieka, do zrozumienia jego istoty i wydobycia poprzez sztukę jego uczuć.. Sztywna i niema Madonna zaczyna się uśmiechać i potem naprawdę cierpieć.

Za chwilę uśmiech znika z twarzy profesora i ciemne oczy błyszczą od niekłamanego gniewu.

— Są na Zachodzie tacy, którzy chcą nas uważać za barbarzyńców, nie znających się na sprawach wielkiej sztuki. Tu mogą znaleźć odpowiedź. Mieliśmy wielkich mistrzów i wielką sztukę — kiedy innym narodom o malarstwie jeszcze się nie śniło! Na tym wybrzeżu Adriatyku, zanim jeszcze zaczęli tworzyć Cimabue i Giotto—przełamali nasi malarze sztywne bizantyjskie formy. Myśmy dali Włochom wielu malarzy, rzeźbiarzy i architektów! Michał Anioł był przecież uczniem naszego Nikoli „dell Arca", Bożidarewicza, El Greco uczniem naszego Julia Glovicza, a Bramante — Lucjana Vranjanina, który wznosił gmachy w Aragonie i Urbino... A iluminacja ksiąg — dzieło miniaturzysty Felicjana z Dubrownika, a Duknovicz, najwybitniejszy rzeźbiarz naddunajskiego renesansu...

Żywa gestykulacja rąk starego profesora — czułych dłoni artysty malarza — modeluje każde jego słowo, waży ciężar każdego nazwiska, wyraża w drżących z podniecenia palcach całą subtelność i doniosłość sprawy.

— I stało się tak, że na naszą sztukę zapadła zasłona austriackiego, jezuickiego baroku. Reszta twórczości rozpłynęła się pod panowaniem Turków, w ogniu nieustannych wojen. A teraz — właśnie teraz musimy wydobyć te nasze zapomniane tradycje, rozproszone i zaniedbane skarby. Oto one. Mała cząstka tego, co udało się nam zebrać, sprawdzić i odnowić... Chcemy, żeby te wspomnienia, wzory naszej dawnej, wspaniałej, narodowej tradycji pomagały nowym pokoleniom jugosłowiańskich malarzy kształtować świadomość, że twórczością swoją muszą stać się godni naszej chwalebnej przeszłości...

Ostatnie słowa brzmią spokojnie i pewnie, z lekkim odcieniem dumy. Gdzie widziałam podobne oczy? Ostre, jak w skale wykute, skupione rysy twarzy? Gdzie słyszałam ten ton głosu?

W małej chorwackiej wiosce Kumrovec, kiedy chłop Franciszek Lonczar mówił, że nie ma na świecie takiego kraju jak ten.

Laryssa Zajączkowska

Ivan Generalić (1914) **Wieś jugosłowiańska**

Kartki z dziennika lektury

Zapomniany Perzyński

Gdy Włodzimierz Perzyński zmarł jesienią trzydziestego roku, był nie tylko człowiekiem w sile wieku, lecz i pisarzem w pełni twórczego rozwoju. Przeglądając bibliografię utworów Perzyńskiego łatwo się zorientować, że twórczość jego, zapoczątkowana jeszcze w roku 1898 lirykami drukowanymi w „Życiu" krakowskim, zawsze dość obfita, największe jednak nasilenie wykazuje właśnie w ostatnich latach życia pisarza. Na przestrzeni pięciu zaledwie lat napisał Perzyński pięć dużych powieści: „Raz w życiu", „Nie było nas — był las", „Dwoje ludzi", „Mechanizm życia" i „Klejnoty". Wyszły poza tym dwa tomy jego nowel: „Znamię" i „Pralnia sumienia", a na scenach ukazały się aż cztery komedie: „Uśmiech losu", „Lekarz miłości", „Dziękuję za służbę" oraz „Rozum czy głupstwo". Pamiętam ówczesne premiery Perzyńskiego i o ile mnie nie zawodzą i nie mylą wspomnienia tak odległe, komedie te nie posiadały siły realistycznej i dramatycznej równej tej, którą w młodości osiągnął był Perzyński w „Lekkomyślnej siostrze", „Aszantce" czy „Szczęściu Frania". Pełniej natomiast i przy pomocy bogatszych i doskonalszych środków artystycznych wypowiedział się Perzyński w tym ostatnim okresie swego życia w powieściach. Należał w latach dwudziestych do najpoczytniejszych pisarzy współczesnych i powieści jego już w odcinku „Kuriera Warszawskiego" znajdowały w sferze inteligencji i mieszczaństwa licznych czytelników.

Wkrótce po śmierci Perzyńskiego poświęciły mu specjalny numer „Wiadomości Literackie". Lecz ten pośmiertny hołd ze strony tygodnika literackiego, rozporządzającego podówczas największymi wpływami, okazał się ostatnim bodaj wyrazem uznania dla twórczości zmarłego pisarza. Powoli coraz ciszej się stawało dokoła książek Perzyńskiego i dzisiaj, po niespełna dwudziestu latach, jakie dzielą nas od śmierci autora „Mechanizmu życia", nie rozminąłbym się chyba z prawdą przypuszczając, że dla młodego pokolenia, które literaturą interesować się poczęło dopiero w dziesięcioleciu ostatnim, Perzyński istnieje jedynie jako pisarz dramatyczny, twórca „Szczęścia Frania" lub „Lekkomyślnej siostry". Natomiast Perzyński — powieściopisarz zapomniany został dość gruntownie. Czy słusznie?

Perzyński nie był w naszej literaturze prozaikiem na miarę największą. Był jednak dobrym i solidnym powieściopisarzem drugorzędnym. Akurat po dość wielu, bo po dwudziestu z górą latach, przeczytałem na nowo jedną z jego najgłośniejszych w swoim czasie powieści: „Nie było nas — był las". Okazała się lekturą bardzo interesującą, jednym z tych dosyć zresztą rzadkich u nas, niestety, utworów beletrystycznych, które nie dostarczając wzruszeń głębszych, wynagradzają przecież ten brak żywą akcją i plastycznie zarysowanym tłem obyczajowym. Trudno by było wprawdzie odnaleźć w tej książce jakieś odkrywcze wartości w sensie myślowym i artystycznym. Ale za to na jak wyrównanym i dobrze ugruntowanym rzemiośle pisarskim wspiera się ta realistyczna, oszczędna proza!

Spośród wielu pisarzy pokolenia Młodej Polski Perzyński okazał się jedynym bodaj, który nigdy nie uległ tzw. duchowi epoki i nie popadł w językową stylizację, jak Berent, lub w egzaltację uczuć, jak Żeromski. Chciał i umiał pisać językiem prostym, nieomal dziennikarskim, lecz starannie odmierzonym i wiernie notującym zarówno zjawiska zewnętrzne, jak i najbardziej złożone przeżycia psychologiczne. Trzeźwy i zrównoważony umysł pozwalał mu, jak mało komu, ostro widzieć współczesność. I gdybyśmy zechcieli dzisiaj poszukać w literaturze najpełniejszego obrazu lat, które bezpośrednio po wojnie światowej kształtowały naszą rzeczywistość, powieści Perzyńskiego dałyby w tej mierze materiału najwięcej. Jakaż np. w „Nie było nas — był las" bogata galeria postaci ze świata burżuazji, arystokracji i sfer artystycznych i politycznych. Ile również precyzji u Perzyńskiego w odsłanianiu mechanizmu życiowych szablonów oraz w ukazywaniu mentalności i uczuć ludzi przeciętnych.

Zdaje mi się, że ze względów, nie najlepiej zresztą świadczących o naszym wyczuciu spraw artystycznych, ciągle się u nas nie znajduje właściwego stosunku do tej literatury, która nie roszcząc sobie pretensji do wartości arcydzieł, spełnia jednak niezwykle ważną rolę kulturalną. Zbyt często się zapomina, że o całokształcie życia kulturalnego świadczą nie tylko osiągnięcia szczytowe, lecz i te również, które reprezentują dobrą przeciętność. Chodzi o to jedynie, aby owa tzw. literatura drugorzędna była rzeczywiście dobra i, posiadając ze względu na swoją przystępność treściową i formalną odbiorców w najszerszych warstwach społeczeństwa, nie deprawowała czytelników artystycznie i myślowo, nie wulgaryzowała ich i nie wychodziła im naprzeciw w sposób najłatwiejszy. Ostatnio pojawiło się na rynku wydawniczym kilka wznowień Dołęgi-Mostowicza. O ileż słuszniej należałoby wydobyć z zapomnienia Perzyńskiego! Fabularnie powieści jego są równie interesujące jak sensacyjne książki Mostowicza, za to kulturą pisarską, stylem i artyzmem o całą ogromną klasę górują ponad wątpliwymi osiągnięciami autora „Kariery Nikodema Dyzmy". Warto by pomyśleć o Perzyńskim, zbyt szybko i niesłusznie zapomnianym powieściopisarzu.

Jerzy Andrzejewski

Szkoła krytyków

Życie literackie czyli ujawnione kryjówki

Oto zapowiedziany fajerwerk dalszy. O sporach takich, jak referowana właśnie dyskusja o „Lalce" powiada się, że były płodne. Oznacza to najczęściej, że na bocznym torze sporów pojawiły się zagadnienia, których uczestnicy nie zdołali rozwiązać, spieszyli bowiem do ujęć dla nich ważniejszych. Jak biegacz, wpatrzony w płótno z napisem m e t a, nie oglądali się już na boki.

Zagadnienie takie wynikło pomiędzy J. Kulczycką - Saloni a K Budzykiem, a jest nim sprawa konfiguracji życia literackiego w danym okresie i wartość tej konfiguracji dla późniejszego badacza. Kulczycka-Saloni na podstawie sądów publicystów i krytyków pozytywistycznych przypomniała, że Prus „w obozie pozytywistów był raczej ciekawym gościem niż bojownikiem". (Świętochowski). W jakim celu przypomniała, o tym za chwilę. Budzyk zgłosił zasadniczą wątpliwość. Po co to w ogóle robić — zapytał — „tak jakby k o n f i g u r a c j a ż y c i a l i t e r a c k i e g o epoki mogła zaważyć na metodzie i celu poznawczym współczesnego badacza".

Szkoła krytyków nie zgadza się ani z jedną, ani z drugą stroną. To znaczy nie zgadza się ze sposobem, w jaki konfigurację życia literackiego Kulczycka - Saloni wprowadziła do swoich wywodów, a jeszcze bardziej ze zwątpieniem Budzyka. Natomiast uważam, że w sprawach opartych na poszlakach, a jest nią sprawa „Lalki", układ życia literackiego należy wprowadzić jako jednego więcej świadka, byle go uważnie i nieufnie wybadać. Tę trochę skomplikowaną propozycję wyjaśnimy na spornym przykładzie.

Kulczycka - Saloni na sądy współczesnych, wykluczające Prusa od udziału we właściwym pozytywizmie, powołała się w całkiem jasnym celu: „(Prus) został w świadomości ogółu reprezentantem epoki, a raczej reprezentantem kierunku, z którym był właśnie skłócony. I dlatego wydaje mi się bardzo zasadniczym nieporozumieniem traktowanie „Lalki" jako wyrazu pozytywistycznego programu, szukanie w niej jakichkolwiek ideologicznych tendencyj".

Zatem: interpretacja Kotta, doszukująca się właśnie tendencyj ideologicznych w „Lalce", wydaje się autorce niesłuszna. W oparciu przede wszystkim o opis życia literackiego okresu Kulczycka-Saloni interpretację tę odrzuca, a przynajmniej — umniejsza. Oto jak ze świadka niewłaściwie wybadanego wniosek wynika niesłuszny.

Bo czymżeż są świadectwa krytyczne i publicystyczne współczesnych? Czy stanowią one dokument, który bez zbadania, bez zapytania o powody takiego a nie innego ich wyglądu, może być wstawiony w miejsce interpretacji obowiązującej dzisiejszego badacza? Czy taki dokument rozwiązuje jego zadanie, czy właśnie stawia przed nim nowe zadania? W naszym wypadku: dlaczego Prus stał na uboczu w programowym okresie pozytywizmu? Dlaczego programowcy spozierali ku niemu niechętnie? Dalej — pokąd właściwie sięga ów okres programowy? Co to znaczy, że około 1875 r. Chmielowski umieszcza stagnacyjny, a nawet klęskowy punkt pozytywizmu? Jakiego pozytywizmu, jakiej fazy tego prądu?

Dosyć tych pytań — przez Kulczycką - Saloni niepostawionych, a więc i pozostawionych bez odpowiedzi. Spróbujmy tej odpowiedzi sami. Rzecz oczywista, że dokumenty dotyczące układu życia literackiego nie stanowią jeszcze dowodu, ale same domagają się interpretacji. Czyli wniosek z nich wymierzony przeciw Kottowi jest wnioskiem dokonanym bez przeprowadzenia właściwego przewodu. Interpretacja tych dokumentów wyniknąć zaś może dopiero z odpowiedzi na pytania dalsze — dlaczego Prus na uboczu, dlaczego ku niemu niechętnie. Głównie zaś wyniknąć może z ustalenia pojęcia p o z y t y w i z m i stosunku tego pojęcia do terminu r e a l i z m. Naturalnie nie jakiegoś stosunku abstrakcyjnego, ale wówczas, na tle dziesięcioleci 1863 — 1890. Pokąd pozytywizm, odkąd realizm? Dlaczego Bałucki jako powieściopisarz będąc pozytywistą nie jest realistą, a podkopywany przez programowców i tak niewiele ich haseł wprowadzający do własnych dzieł Prus jest przecież pełnym realistą.

Proponuję taką konstrukcję wyjaśniającą. Pozytywizm stanowi wstępną i głównie propagandową fazę rozwoju literackiego tych dziesięcioleci. Propagandową w dwojakim kierunku: ku przeszłości, jako system pojęć przejętych ze współczesnej wiedzy europejskiej, system wytrawiający ostatnie pozostałości romantyzmu. Bezpośrednio przed rokiem 1863 rozłożyły się one na dwa składniki. Jeden z nich to pobajrońskie resztki buntów poetyckich, drugi to krajowy tradycjonalizm historiozoficzny i społeczny Polów i Syrokomli. Bunt ustabilizowany literacko, tradycjonalizm ustabilizowany społecznie. Ten kierunek mniej obchodzi powieściopisarzy pozytywistycznych. Słuszność na tej linii była tak oczywista, że robotę można było oddać publicystom.

Ku przyszłości pozytywizm był optymistyczną propagandą wejścia Królestwa Kongresowego w cykl rozwojowy kapitalizmu. Propagandą tej fazy owego cyklu, kiedy sprzeczności klasowe nastającego porządku gospodarczego jeszcze oczom propagandystów nie stały się widoczne. Propagandowcy pozytywistyczni mniemali, że kto buduje fabrykę, ten buduje tylko halę maszyn i kominy, a nie przewidywali, że równocześnie zbuduje on program klasowy. I byli bardzo zdziwieni, kiedy tak się stało, bo przecież w inżynierskim planie hal fabrycznych ten problem nie był zapowiedziany.

Kierunek drugi bardziej obchodził powieściopisarzy pozytywistycznych. Tutaj jednak natykali się oni w rzeczywistym społeczeństwie polskim na brak dostatecznie obfitego materiału obserwacyjnego. Pozytywny bohater młodej Orzeszkowej musiał być bohaterem dętym, bohaterem na wiarę, bo któż za nim stał, z czyich żywotów indywidualnych można było czerpać wzór na jego żywot powieściowy?! „Kto stał za garstką entuzjastów „machin i skalpelu", skupioną dokoła paru tygodników warszawskich? — parotysięczna rzesza inteligentów, rzbitków z dworu szlacheckiego" — woła Kott.

Założywszy taką konstrukcję, powróćmy do rzuconych uprzednio pytań. Jak często w polemikach literackich, argumenty wspierające niechęć programowców przeciwko Prusowi, a Prusa przeciwko nim, pisane są szyfrem. Prus stoi na uboczu w okresie programowym, ponieważ on, nieubłagany realista, wie na pewno, że materiału na budowę dzieł literackich postulowanych przez program jeszcze brakuje. Prus wie na pewno, że jego, realisty zadaniem, jest pogodzić tę sprzeczność prawdziwego realizmu: przebieg losu indywidualnego z jego przebiegiem powszechnie znaczącym. Programowcy zaś przeczuwają, że na dęte robótki propagandowe pójść może Bałucki, ale nie pójdzie Prus. Dlatego przekładają Bałuckiego. A kiedy Prusowi rzeczywistość przyniesie materiał na budowę tych dzieł, nie będzie on już zgodny z nadziejami programowców. Będzie natomiast zgodny z dziwaczną karierą Stanisława Wokulskiego.

Czy odpowiedziałem na wszystkie pytania dotyczące konfiguracji życia literackiego wokół postaci Prusa? To zaledwie szkic szkicu odpowiedzi. Ale na to chyba odpowiedziałem: dlaczego szkoła krytyków nie zgadza się ze sposobem wprowadzania świadka przez Kulczycką - Saloni. Badać, krzyżowe pytania, nie wierzyć pierwszemu zeznaniu! Jest w tym od razu odpowiedź, dlaczego nie potępia się za Budzykiem samego faktu wprowadzenia owego świadka. Życie literackie posiada swoją małą, wewnętrzną socjologię. Nie jest to jakaś socjologia autonomiczna, jej korzenie sięgają socjologii prawdziwej i warunkującej. Dlatego jednak konfiguracja życia literackiego należycie odczytana mówi o tych korzeniach więcej, aniżeli same dzieła umieszczone poza jej siatką. „W ujawnionych kryjówkach życia literackiego" — ha, gdybyż znaleźć taką powieść sensacyjną pióra nieboszczyka Chmielowskiego.

Ponad ujawnionymi kryjówkami unosi się duch profesora Józefa Chałasińskiego. Wywołamy go za tydzień.

kjw

Notatnik muzyczny

Koczalski, Hlounova, Rowicki

Jak żywo nas obchodzi Chopin i fortepian, świadczyła frekwencja na koncercie - odczycie Raoula Koczalskiego w sali YMCA.

Wielki nasz szopenista mówił zrazu o kilku czysto technicznych i stylistycznych zagadnieniach przy wykonywaniu Chopina. Wszystko to byłoby martwą literą, gdyby nie przykłady muzyczne. W ich świetle słowa „legato", „rubato", zagadnienia rytmiczne i melodyjne nabierają życia. Publiczność śledzi z wielką uwagą wszystko, co jej do wierzenia podaje Koczalski. Szkoda, że o etiudach nie mówił więcej, ograniczył się do ich wykonania. Odczyt przemienił się w koncert, koncert z brawami i bisami. Nienasycona jest nasza publiczność, gdy tylko chodzi o to wielkie dziecko Warszawy, które wyjechało przed wiekiem i ciągle do nas powraca w ornamentach, nad których wartością rytmiczną zastanawiamy się niezmordowanie.

Koczalski jest uczniem Mikuliego, a wiadomo, że Mikuli był uczniem Chopina. W ten sposób uważać możemy Koczalskiego za muzycznego wnuka Chopina.

Tradycja ta jest bardzo cenna. Koczalski w objaśnieniach swych nic nowego nie dodaje do tego, co już znamy z dawnych opowiadań i opisów gry Chopina. Jednakże w ustach Koczalskiego słowa te posiadają wartość autentyku, a pod jego palcami odżywają tradycje ks. Marceliny Czartoryskiej, przejęte przez tego wielkiego pianistę.

Publiczność nasza rzeczywiście pasjonuje się zagadnieniami, które Koczalski nie tylko porusza, lecz wprost personifikuje. Gdy Koczalski woła, że nie można grać Chopina nowocześnie, to rozlegają się oklaski. Brzmi to jak wyzwanie, lecz — uważam — że wyzwanie to pada w rzeczywistości w próżnię.

Mówi się dużo głupstw o sztuce. Jasne jest, że należy grać każdego kompozytora w stylu jego epoki. Mimo to nie ustrzeżemy się nigdy pewnych stylistycznych i nawet technicznych „przesunięć". Koczalski z pewnością nie gra tak, jak grano w 1848 roku, a młody pianista z 1948 roku nie będzie tak grał jak Koczalski. Raz przychodzi „moda" i „gust" na nokturny i walce, to znów w etiudach i preludiach widzimy szczyty doskonałości Chopina. Dowodzi to tylko geniuszu twórcy, którego dzieło jest tak bogate, że odzwierciedlać się w nim mogą tendencje rozmaitych epok. W cennych uwagach Koczalskiego brak było najprostszego choćby wytłumaczenia, czym w istocie jest zdumiewający utwór, który się nazywa u Chopina etiudą. Choćby naszkicowanie historii etiudy i pokazanie jej budowy i mechanizmu, z którego Chopin stworzył swoje dwa nieśmiertelne cykle, wyjaśniłyby słuchaczom wiele.

W następnym odczycie-koncercie zapowiedział Koczalski, że mówić będzie „jak okradano Chopina". Wyrażenie to jest dowcipne i trąci lekką demagogią muzyczną. Chopin wpłynął na całe mnóstwo „wielkich i małych" kompozytorów. Każdy wielki mistrz jednak działał podobnie na swych następców. Istnieją grube tomy, zestawiające tematy Mozarta i Beethovena i wykazujące ich podobieństwo, aż po identyczność. Mamy nadzieję, że Koczalski zilustruje bogaty swój temat w sposób rzucający wiele światła na sto lat historii muzyki, która od śmierci Chopina tak wiele zawdzięcza twórcy mazurków i etiud. Trudno jednak zgodzić się na termin „okradanie" bez reszty! Chyba, że „okradaniem" nazwiemy wpływ przeszłości, ciążący na każdym bez wyjątku twórcy.

W szeregu znakomitych skrzypków, którzy przewinęli się ostatnio przez estradę Filharmonii Warszawskiej, pokaźne miejsce zajmuje urocza skrzypaczka praska, Maria Hlounova. — Jakość tonu i doskonałość techniczna chlubnie świadczą o odżywających ciągle na nowo tradycjach wielkiej skrzypcowej szkoły czeskiej.

Fantazja skrzypcowa Suka posiada nużącą dziś nieco formę, zbudowaną na zasadzie poematu symfonicznego. Widać jednak, że tworzył ją muzyk rasowy, świadomy, kiedy jaki efekt wyciągnąć z szufladek, a ma ich kompozytor znaczny zapas.

Uroczego Smetanę i pełen werwy taniec Martinu odegrała Hlounova na „bis".

Witold Rowicki jest już znakomitym kapelmistrzem, największą chyba nadzieją w szeregach naszych dyrygentów.

Symfonię Haydna, Suka i, na zakończenie, Toccatę Bolesława Szabelskiego zadyrygował Rowicki stylowo i z temperamentem urodzonego „szefa". Tylko u najlepszych dyrygentów odnosi się wrażenie celowości każdego ruchu, opanowania, temperamentu muzycznego i — równocześnie — czegoś w stosunku do wykonawców władczego, co się udziela grającym. Rowicki te cechy posiada, reszta zależeć już będzie od mozolnego kontaktu z partyturami, których dyrygent musi mieć wielką ilość „w głowie" — jak mówi znane przysłowie.

Toccata Szabelskiego jest utworem, którego błyskotliwy przebieg staje się już trwałą pozycją naszego repertuaru, podobnie jak uwertura Szałowskiego, Bacewiczówny czy — zbyt rzadko wykonywana — „uwertura tragiczna" Panufnika.

Zygmunt Mycielski

Książka francuska droższa 58 razy

Dijon, w lutym 1948 r.

Ostry kryzys ekonomiczny, z którym zmaga się bezskutecznie Francja powojenna, rzucił wielki cień na przemysł, związany ze słowem drukowanym. Wysoka cena papieru i ograniczony jego przydział, zwiększone koszty robocizny, stosunkowo drogi transport — oto kilka czynników hamujących normalny rozwój prasy i normalne rozpowszechnianie książki. Książka stała się dziś we Francji artykułem bardzo drogim. Wprawdzie ceny wszystkich artykułów przemysłowych, a przede wszystkim spożywczych, skoczyły w górę, ale współczynnik ten wahał się w styczniu 1948 w granicach 10—15. Tymczasem, według obliczeń jednego z krytyków, książka kosztuje dzisiaj 58 razy więcej niż w roku 1939, kiedy komplet dzieł Prousta można było nabyć za niecałe 200 franków.

We Francji powojennej przeciętny obywatel, zubożały wskutek dewaluacji franka, boryka się codziennie z różnego rodzaju trudnościami. W tej trosce o dzień powszedni najtrudniej rysuje się problem wyżywienia. W takich warunkach książka zajęła w hierarchii potrzeb dalekie miejsce. Stała się przedmiotem zbytku, od którego trzeba płacić wysoki podatek luksusowy. Toteż w księgarni rzadko tylko spotkać można klienta, a firmy wydawnicze biedzą się nad tym, jak go zdobyć, to znaczy, jak udostępnić mu cenę sprzedażną towaru. Coraz częściej widzi się w kioskach tanie, zeszytowe wydania książek na gazetowym papierze. Pojawiają się specjalne periodyki, jak np. przegląd socjalistyczny o szekspirowskim tytule „Caliban", w których znaleźć można pełny tekst powieści współczesnej lub dawnej. Cena numeru wynosi zaledwie 35 fr. Niedawno powstała firma „Książka Plastyczna", która za 99.50 fr. daje powieść współczesnego pisarza w formacie kieszonkowym.

KLUBY KSIĄŻKI

W kalkulacjach przemysłowców książki bierze się pod rozwagę fakt, że każdy frank w skromnym budżecie rodzinnym ma swoje znaczenie. Wydatek zatem na książkę musi być dobrze przemyślany. Przeciętny czytelnik zdaje się na ogół w wyborze na krytyka. Ale krytyk tego pisma, które on czytuje, ma swój gust. Toteż kupując książkę, zaleconą przez krytyka, czytelnik często doznaje zawodu. Miesięczniki literackie we Francji, najlepszy przewodnik literacki, są bardzo drogie i nie każdy może sobie na nie pozwolić. Dlatego nieraz samorzutnie tworzą się grupy czytelników, abonujących wspólnie jedno takie czasopismo. Dlatego przy tygodnikach literackich powstają kluby krytyki, złożone z pisarzy, krytyków i czytelników, które wyznaczają co miesiąc dla użytku księgarzy i publiczności dwa dzieła francuskie lub obce, godne wyróżnienia i zalecenia.

Dlatego wreszcie powstają „kluby książki" lub „kluby czytelników". Kluby te uczą wybierać do biblioteki własnej i do bibliotek publicznych odpowiednie dzieła. Specjalne jury, w skład których wchodzą ludzie fachowi — krytycy i pisarze, dokonują wyboru wśród książek, ukazujących się na bieżącym rynku wydawniczym, sortują jakby te ostatnie nowości i informują o nich publiczność w formie recenzji. Te informacje mają wielkie znaczenie, zwłaszcza dla czytelników z prowincji, oddalonych od życia literackiego i zdezorientowanych w chaosie nowych książek. Trzeba bowiem powiedzieć, że we Francji wydaje się dużo i mimo kryzysu firmy mnożą się z roku na rok.

„READER'S DIGEST"

Ale ostatnio rozpowszechnia się na tutejszym rynku amerykański uniwersalny sposób zaspokajania potrzeb czytelnika. Tym uniwersalnym wynalazkiem jest magazyn „Reader's Digest", którego wersja francuska, fabrykowana za oceanem, rozpowszechniła się po wojnie we Francji. O rozmiarach tego rozpowszechnienia, a co za tym idzie, i społecznego oddziaływania, niech mówią cyfry. Francuska „Sélection du Reader's Digest", ukazująca się co miesiąc, znajduje przeszło pół miliona czytelników. Tak poważny nakład pozwala skalkulować cenę bardzo przystępną. Cena ta wynosi 30 franków i stanowi równoważnik 6 gazet.

Magazyny w rodzaju „Reader's Digest" przywędrowały do Francji nazajutrz po wyzwoleniu i znalazły bardzo podatny grunt. Kraj, odcięty w okresie okupacji od świata i pozbawiony wiadomości, odczuwał głód słowa. Tego głodu, który wzbierał w ciągu kilku lat, nie mogła zaspokoić prasa francuska, ograniczona ze względu na brak papieru do dwóch stron. Prasa ta nie miała miejsca na obszerniejsze artykuły ani środków na dokładne wiadomości z zagranicy. Wszystkie czasopisma rozchwytano w lot. Kioski pustoszały. Toteż kiedy pojawiła się mała książeczka „Choix" (Wybór), rzesze czytelników rzuciły się na nią.

„Choix" ukazywał się co miesiąc w barwnej okładce coraz to innego koloru, kosztował zaledwie 10 franków i dostarczał publiczności na stu przeszło stronach wiadomości o tym, co się dzieje w świecie. Materiał czerpał z czasopism amerykańskich, przede wszystkim zaś z londyńskiego ośrodka informacji.

Wkrótce „Choix" ustąpił miejsca innym publikacjom tego rodzaju, jak „przegląd międzynarodowy": „Echo", przede wszystkim zaś „Sélection du Reader's Digest" z podtytułem „Artykuły i książki interesujące wszystkich".

Magazyn ten powstał w Ameryce w roku 1921 z inicjatywy De Witt Wallace'a. Początkowo przedrukowywał on jedynie artykuły, ukazujące się w prasie. Zespół, wydający ten magazyn miał zrazu raczej zainteresowania religijne niż dziennikarskie. Dlatego sfery duchowieństwa przyjęły to pismo przychylnie.

Z czasem zmieniła się jego forma i duch. Przyszedł gwałtowny zwrot na prawo. Artykuły poczęto już nie wybierać, ale „kondensować". Ta formuła miała brzmienie czysto amerykańskie i przypominała konserwy i mleko w proszku. Kondensowanie takie przybierało zresztą czasami dziwne formy, okazywało się bowiem, że artykuł poddany operacji powiększał swoją objętość.

Stanisław Gogłuska

Rozstrzygnięcie konkursu im. K. Szymanowskiego

Dnia 12 lutego został rozstrzygnięty Konkurs im. K. Szymanowskiego na krótki utwór symfoniczny, ogłoszony przez Komitet Uczczenia 10-lecia śmierci K. Szymanowskiego. Jury w składzie: G. Fitelberg, S. Golachowski, Z. Górzyński, S. Łobaczewska, M. Mierzejewski, T. Ochlewski rozpatrzyło 21 nadesłanych partytur i nagrodziło następujące utwory:

I nagroda:	**A. Panufnik**	**— Allegro symfon.**	**50.000.— zł**
dwie II nagrody:	**R. Palester**	**— Nokturn**	**70.000.— zł**
	S. Skrowaczewski	**Nokturn na smyczki**	**60.000.— zł**
III nagroda:	**K. Sikorski**	**— Uwertura**	**60.000.— zł**
Wyróżniono:	**G. Bacewiczówna**	**— Introdukcja i Kaprys**	
	S. Prószyński	**— Mała Symfonia**	

Partytury nagrodzonych utworów zostaną wydane przez Polskie Wydawnictwo Muzyczne. Partytury nie nagrodzone można odebrać wraz z kopertą z godłem w Polskim Wydawnictwie Muzycznym, Kraków, Basztowa 23.

DEKLARACJA

Zgłaszam się na członka Klubu Literackiego „Odrodzenia" i zobowiązuję się do płacenia abonamentu za książki w kwocie zł 1.800 rocznie, płatnych po 150 zł miesięcznie lub po 300 zł co drugi miesiąc lub po 900 zł półrocznie (niepotrzebne skreślić)

Moje prawa i obowiązki są mi znane.

Imię i nazwisko .....

Adres .....

.....
(podpis)

Wyciąć, nakleić na kartę pocztową i przesłać pod adresem: Warszawa, Daszyńskiego 14, Klub Literacki „Odrodzenia".

Kazimierz Brandys otrzymał tegoroczną nagrodę miasta Warszawy. K. Brandys urodził się w Łodzi w r. 1916, ukończył studia na wydziale prawnym Uniwersytetu Warszawskiego. W czasie ostatniej wojny przebywał w Warszawie, gdzie debiutował na konspiracyjnych wieczorach autorskich pierwszymi fragmentami „Drewnianego konia".' Po wyzwoleniu kraju „Odrodzenie" zaczyna drukować jego wspomnienia i reportaże o walczącej Warszawie. W rok potem powstaje powieść „Miasto niepokonane". „Drewniany koń" wychodzi w tym samym roku.

W najbliższym czasie ukaże się w „Odrodzeniu" artykuł Jerzego Zawieyskiego o twórczości Brandysa.

Korespondencja

Szołochow w Nieborowie

Do redaktora „Odrodzenia"

Po uważnym odczytaniu wypowiedzi ob. Bartelskiego (nr 7 „Odrodzenia") nie podobna się oprzeć uczuciu wyraźnej ulgi, że Nieborów jest u nas, a autor „Cichego Donu" Szołochow, mieszkający stale na cichej wsi — nie u nas. Całe szczęście, że nie przybył na studium do Nieborowa, inaczej nie uniknąłby („Nieborak"!) sakramentalnej etykietki: oto prowincja upośledzona, oto intelektualny prymityw.

A jeśliby uniknął i w drodze wyjątku dopuszczono by go do grona leaderów łódzkich czy krakowskich, nie byłby zbudowany atmosferą stworzoną przez młodego pisarza Bartelskiego.

Jakby nań podziałała skwapliwość w dopatrywaniu się przepaści między tymi, co znają Homera, a tymi, co go nie znają? Może popadłby w rozterkę, na którym brzegu onej przepaści ma stanąć, by być w zgodzie z sumieniem?

Bo Homer Homerem, ale tu znów z drugiej strony: cicha wieś, prowincja, panie dzieju upośledzona...

I pomyśleć, jakiego czuja miał ten Szołochow? Mógłby się znaleźć w Nieborowie, a nie znalazł się!...

(Czego ob. Bartelskiemu życzy)

J. Sobieszek
(Nieborów k. Łowicza)

Wypowiedź czytelnika

DO REDAKTORA „ODRODZENIA"

(W związku z wypowiedzią jednego z uczestników przeszkolenia literackiego w Nieborowie)

Ob. Borowski w Nieborowie
najadł się literacczyzny
i dlatego swą wypowiedź
zaopatrzył gęsto w „izmy".
Przypomniała mi się mowa
dawnych władców Nieborowa...
Wśród ojczystych słówek kilku
co krok obcy wyraz błyska, —
wkrótce pozostaną tylko
polskie... cyfry i nazwiska.
Za wcześnie nas Rey pochwalił,
że Polacy... i tak dalej.
Po co nam „utylitaryzm" —
słowo, co jak pies skowycze,
gdy piękniejsze nasze stare:
„pożyteczność" lub „pożytek"?!
A „wymogi" — dajmy na to —
czyż gorsze od „postulatów" ?!...
Literaci, czy nie czas już
język nasz odzagranicznić
i na wszystko nazwę własną
znaleźć, chociażby z tych przyczyn,
żeby wyjść z ciasnego kręgu
i do mas szerokich sięgnąć?!...
Bo dotychczas — dam wam oto
tychże mas wypowiedź szczerą —
wy macie „niełatwą robotę"
a my z niej — kompletne zero!...

Opole — luty 1948.

Stefan Chmielnicki

Wyjaśnienie

Do redaktora „Odrodzenia"

W związku z notatką zamieszczoną w nr. 6 (167) „Odrodzenia" pt. „Nagroda literacka", wyjaśniam, że wzmiankowana kwota udzielona została w ramach zwykłej działalności Komisji, a nie tytułem nagrody, jak to błędnie podano w omawianej notatce.

Komisja Pomocy Pracownikom Nauki i Sztuki oraz Pracownikom Społecznym
Mieczysław Biegański
p. o. Przewodniczącego Komisji

TYDZIEŃ BIBLIOGRAFICZNY

NAUKI PRZYRODNICZE

Biblioteka Przyrodnicza. **Włodzimierz Michajłow.** Rozwój świata organicznego. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1948; str. 36 i 4 nl.

Biblioteka Fizyczno - Astronomiczna. **St. Szeligowski.** Komety i meteory. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1947; str. 43 i 1 nl.

TECHNIKA

Wincenty Czerwiński. Poradnik mechanika - metalowca. Dla szkół zawodowych przemysłu metalowego oraz dla pracujących zawodowo w tym przemyśle. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1947; str. XVI i 432 i 11 i 1 nl.

G. Hensel i St. Wierusz - Kowalski. Podstawy elektrotechniki. Część II. (Prąd zmienny). Podręcznik szkolny w zakresie gimnazjalnym. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1947; str. 208.

HISTORIA

Jan Bielatowicz. Brygada Karpacka. Rzym, Instytut Literacki, 1947; str. 38 i 2 nl.

Wydawnictwa Instytutu Śląskiego. Biblioteka Słowiańska. 5. **Marek St. Korowicz.** Dzisiejsza Czechosłowacja. Z 1 mapką. Katowice, 1948; str. 35 i 1 nl.

Stanisława Sowińska (Barbara) Lata walki. Warszawa, „Książka", 1948; str. 389 i 3 nl.

PODRĘCZNIKI SZKOLNE

Witold Doroszewki. Bronisław Wieczorkiewicz. Zasady poprawnej wymowy polskiej (ze słowniczkiem). Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1947; str. 83 i 1 nl.

Aleksander Lipa. Technika sprawnego liczenia. Podręcznik dla gimnazjów handlowych i spółdzielczych. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1947; str. 212.

Janina Przeworska. Życie ludzi w dawnych wiekach. Podręcznik dla III kl. szkoły podstawowej. Wydanie II poprawione. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych 1947; str. 143 i 1 nl.

Bronisław Wieczorkiewicz. Ćwiczenia ortograficzne. Klasa VII. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1947; str. 78 i 2 nl.

HANDEL

Antoni Tatoń i Kazimierz Jabłoński. Wiadomości z organizacji i techniki handlu. Część 1 dla kl. I gimnazjum handlowego. Wydanie III rozszerzone i zmienione. Opracował **Antoni Tatoń.** Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1947; str. 338 i 7 i 3 nl.

Jak angielski »Punch« widzi Niemca?

THE PRISONER OF WAR
"Send him back, Mr. Attlee."

Jeniec wojenny. Niech go pan pośle do domu, mr. Attlee!

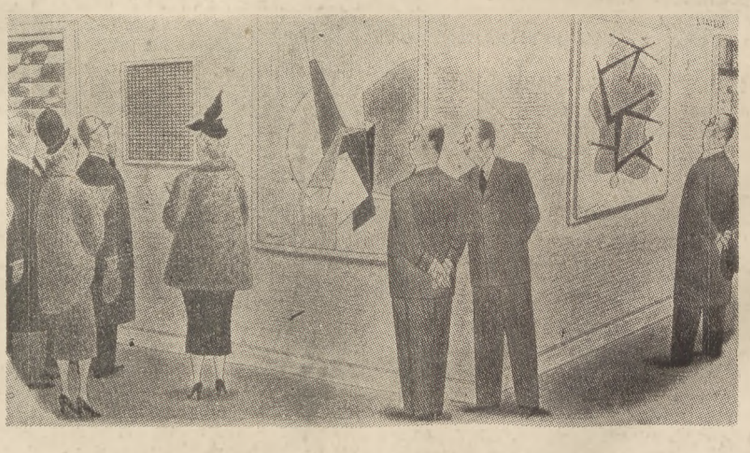

(*„New Yorker"*)

— Może by im jednak powiedzieć, że to wentylator?

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ.

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia" z prośbą o współpracę w dziale **„Camera obscura"**. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura" pod adresem: Redakcja „Odrodzenia", **Warszawa, Daszyńskiego 14,** dział „Camera obscura". Ustęp taki należy **wyraźnie oznaczyć,** najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne.** Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości 1000 zł.,** którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

Nagrodę zł. 1000 otrzymała w ubiegłym tygodniu ob. Maria **Federowiczowa,** *Kraków, ul. Dietla 23, m. 15, za wycinek z „Życia Lubelskiego".*

„BENIOWSKI", III, 537 — 538.

„Życie Lubelskie" z pierwszych dni lutego rb. zamieszcza w rubryce „Między nami" następujące rozważania:

„Żeby choć jedna pierś na miarę krawca, nie Fidiasza, żeby choć jedna!" — marzył genialny romantyk, Juliusz Słowacki w „Beniowskim".

Przedmioty naszych marzeń zmieniają się na przestrzeni dziejów i wątpić należy, czy znalazłby się dzisiaj ktokolwiek, kto podjąłby marzenia wielkiego poety. Gdyby się nawet znalazł ktoś marzący o ludzkiej piersi, marzenie to przybrałoby odwrócony kształt, coś w rodzaju: „Żeby choć jedna pierś na miarę Fidiasza, a nie krawca..." Krawców, szczególnie liczących za uszycie garnituru 17 000 zł mamy wszyscy powyżej uszu...

Felieton podpisany jest skromnie, lecz wymownie: Romantyk. Nie rozumiemy, dlaczego tamten romantyk nazwany jest genialnym... Był to, jak wynika z powyższego felietonu, przeciętny, przyziemny modniś, marzący o dobrze skrojonym garniturze...

Z HISTORII WYNALAZKÓW

W „Dzienniku Zachodnim" (1.II.) czytamy:

W listopadzie 1788 r. zachorowała poważnie żona Galwaniego. Lekarz zalecił zaaplikować chorej na wzmocnienie rosołek z żabich udek. Przygotowane do gotowania obciągnięte z cienkiej skórki żaby, położono przypadkiem w tym samym pokoju, gdzie Galwani — lekarz i profesor uniwersytetu w Bolonii, zajęty był doświadczeniami i próbami nad wynalezieniem elektryczności.

I co? Wynalazł ją?

STARE, DOBRE CZASY

Jedna z czytelniczek przysłała nam — nie wycinek lecz odpis wzmianki, zamieszczonej w „Kurierze Warszawskim"... sto dwadzieścia lat temu (rok 1828, nr 64). Sprawdziliśmy autentyczność tej ciekawostki — i oto ją podajemy:

U XX. Kommvnistów w Węgrowie znajduje się w Zakrystji zwierciadło, które, jak okoliczna wieść niesie, pochodzi od sławnego Twardowskiego. Uczynionoby przysługę miłośnikom rzeczy Polskich, gdyby ogłoszono historię i opis tego zabytku.

WEZBRANA CZUŁOŚĆ

W wydawanym przez oo. jezuitów „Przeglądzie Powszechnym" (nr 671) w recenzji z „Symfonii Pastoralnej" czytamy:

(Pastor) „biorąc na wychowanie zdziczałą ślepą od urodzenia dziewczynę — staje się pod wpływem budzącego się w nim w miarę dorastania pupulki, uczucia miłości erotycznej, męskiej — w konsekwencji przyczyną jej śmierci.

Z punktu widzenia logiki nie można powyższemu zdaniu nic zarzucić. Tak zazwyczaj bywa, że w miarę dorastania takowej budzą sie uczucia erotyczne, męskie. Ale czy „Przeglądowi Powszechnemu" przystoi używanie aż tak pieszczotliwego słóweczka? Czy nie wystarczyłaby pupka?

SZWANK

„Moda i życie praktyczne" (nr 4) we wzmiance o zamachu na Gandhiego:

Z zamachu wyszedł Gandhi bez szwanku.

Dajcie pokój, panowie... Jeżeli to jest bez szwanku...

REFERENCJE

Ogłoszenie w „Życiu Warszawy" (13. II.):

Pannę młodą z praktyką przyjmę do dwuletniej dziewczyny. Referencje wymagane.

Najlepiej poinformuje pan młody z praktyką.

CERVANTES PO AMERYKAŃSKU

Ogłoszenie w pismie „Ameryka Echo" Toledo, Ohio)

Bardzo śmieszna opowieść o Don Kiszocie z Manszy, który na chudej kobyle wyjechał w świat, aby bronić stanu rycerskiego i czci kobiecej i z tego powodu miał różne wypadki.

W książce tej więcej jest śmiechu, niż w dziesięciu pismach humorystycznych przez 10 lat: więcej zadowolenia, niż od wypicia wielkiej beczki piwa; więcej rad i przestróg, niż we wszystkich książkach kucharskich; więcej animuszu, niż w stu mowach politycznych itd. Jeżeli nie masz tej książki, to nie czekaj ani dnia, ani godziny, ani minuty, ale zaraz poślij dol. 2 do księgarni, aby ci tę książkę posłano i to pośpiesznie. Skoro otrzymasz tę książkę, możesz się z nią rozłożyć wygodnie a z czytania będziesz miał więcej uciechy, niż ze stu centów; więcej ochłody, niż z pełnych beczek „ajskremu", więcej podniety, niż z towarzystwa 50 dam! Może nie wierzysz? Przekonać się możesz o tym wszystkim zupełnie darmo! Gdybyś nie był kontent z książki, możesz ją zwrócić, a otrzymasz w zamian inne książki lub pieniądze. Kto ma duszę w ciele i dol. 2 w kieszeni, niech się nie martwi! Nie siedź dudku zaniepokojony, nie susz mózgownicy nad tem, co masz robić podczas upałów. Wszystko złe minie, a dobro nastanie, skoro kupisz Don Kiszota z Manszy, nowe wydanie w pięknej oprawie, cena dol. 2.

PRZEGLĄD SOCJALISTYCZNY

Ukazał się numer 1 — 2 (za miesiące styczeń—luty br.) o następującej treści

J. Cyrankiewicz — Rola dziejowa odrodzonej PPS.
O. Lange — PPS wobec sytuacji międzynarodowej.
A. Rapacki — Zadania PPS na odcinku gospodarczym.
T. Głowacki — Po Kongresie Wrocławskim.
K. Sokołowski — Pierwszy rok planu.
J. Maliniak — W setną rocznicę ogłoszenia Manifestu Komunistycznego.
J. Topiński — Manifest Komunistyczny i materializm historyczny.
R. Wojna — Socjalizm francuski w przededniu „Wiosny Ludów".

Kartki z historii socjalizmu

R. W. — Związek Komunistów.
S. Krygierowa — Światła i cienie w życiu Lassalle'a.
M. Zawadzka — Stan organizacyjny PPS w roku 1906.

Na horyzoncie

W Polsce — W ZSRR — W Europie — Za morzami.

Idee — myśli — zagadnienia

G. Jaszuński — Przed podziałem Palestyny
A. Chełmiński — Czechosłowacja w 1947 r.
K. Wagner — Na marginesie kwestii mieszkaniowej w miastach.
St. Kowalewski — Zagadnienie sztabów w administracji publicznej.
M. Piechal — Uwagi o literaturze powojennej.
G. Timofiejew — „Polska mania" Żeromskiego.
L. Bukowiecki — Właściwy twórca filmu.
J. Skrzypek — U źródeł teraźniejszości.
A. K. — Ekonomika przedkapitalistycznych formacji.

Z życia partii.
Książki nadesłane.
Notatnik referenta.

Cena numeru 60 zł. **K. 16-1**

NIEMCY SPRZED 30 LAT

W RYSUNKACH GEORGA GROSZA

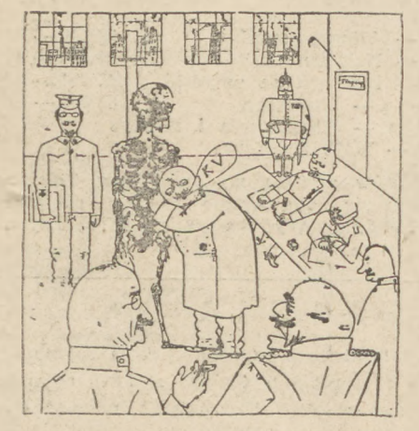

Uzdrowiciele wiary

Zwycięstwo maszyny

fot. Schabenbeck
Rycerz swastyki

W poprzednim 8 (169) numerze „Odrodzenia" z dnia 22 lutego 1948 r.: **Roman Werfel:** Był dopiero luty. — **Erskine Caldwell** (przełożyła **Ewa Fiszer):** Tragiczna ziemia. — **Roman Bratny:** Przywitanie madonny. — **jap:** Dalszy ciąg bitwy o Sartre'a. — **Wojciech Bylina:** Mity amerykańskie. Wolność słowa. — **Adolf Sowiński:** Warszawa 1843 — **Tadeusz Breza:** Detronizacja Marii Stuart. — **Andrzej Stawar:** Teatr „Placówka" — Burza. — **Ryszard Ordyńsk[1]:** Poczęcie filmu. — **Ludmiła Protschke:** Głód książki? — **Tadeusz Borowski:** Żywioły i etyka. — **kjw:** Szkoła kryków: Dyskusja o „Lalce". — **Zygmunt Mycielsk[1]:** Koch w Filharmonii, pochwała Brahmsa. — Tydzień bibliograficzny. — Po raz drugi. — **Jan Rojewsk[1]:** Polemistów czas zacząć... **mc:** Guliwer w krainie liliputów. — Korespondencja **(Mieczysław Pruszyński, Korektorzy** „Odrodzenia"). — Polonistów czas zacząć... — 6 ilustracji. 8 stron.

REDAGUJE ZESPÓŁ: Adres redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 16, telefon 85-588 — Redaktor przyjmuje od godz. 9 do 10. — Adres administracji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 14, telefon 87-112 Konto w PKO nr I-4739.
Drukarnia nr 2 „Czytelnik", Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna 80 zł, kwartalna 240 zł B-45357 Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik"